

Kobiety w polskiej muzyce i muzykologii

Z Danutą Gwizdalanką rozmawia Jolanta Łada-Zielke (*Hamburg*)



Danuta Gwizdalanka, fot. Krzysztof Meyer

Danuta Gwizdalanka, absolwentka muzykologii i filologii angielskiej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, obroniła w 1990 roku pracę doktorską pod tytułem „Aspekty brzmieniowe kwartetów smyczkowych Beethovena”. W latach 1981-1991 pracowała w Teatrze Wielkim w Poznaniu i w Akademii Muzycznej im. Feliksa Nowowiejskiego w Bydgoszczy. W 1995 roku prowadziła seminarium „Muzyka polska po 1945 roku” na Uniwersytecie Michigan w USA. W latach osiemdziesiątych podjęła jako pierwsza w Polsce temat ekologia muzyki, tłumacząc esej R. Murraya Schafera „The Music of the Enviroment”, na podstawie którego powstała jego praca „Tuning of the World”. W 1999 roku ukazała się jej książka „Muzyka i polityka”. Gwizdalanka jest autorką biografii Mieczysława Weinberga, Witolda Lutosławskiego i Karola Szymanowskiego, a także przewodnika po muzyce kameralnej. Współpracuje z magazynem „Ruch Muzyczny” oraz z Wyższą Szkołą Muzyczną i Teatralną w Hamburgu przy projekcie MUGI (Musik und Gender im Internet), dla którego opracowała biografie Zofii Lissy, Krystyny Moszumańskiej-Nazar, Marii Szymanowskiej i Eugenii Umińskiej. Danuta Gwizdalanka jest żoną kompozytora Krzysztofa Meyera.

Pani książka *Muzyka i płeć* (Kraków, 2001) była pierwszą polską publikacją opisującą udział kobiet w historii muzyki. Monografię muzyki polskiej wydaną w stulecie

odzyskania niepodległości (ukazała się ona już po polsku[1], po angielsku[2], a teraz czeka na wydanie niemieckie, które zamyka rozdział *Herstoria*, czyli zasługi kobiet w owym stuleciu). Od czasu do czasu pisuje się w Polsce na ten temat, ale spojrzenie na dzieje muzyki ze specyficznie kobiecej perspektywy pojawiło się tu późno. Jest też tematem rzadko poruszonym - inaczej niż to się dzieje w Niemczech, w Anglii czy w Stanach Zjednoczonych. Skąd to opóźnienie - i właściwie brak zainteresowania tym tematem?

Mówiąc najprościej - z braku potrzeby, bo chociaż sytuacja Polek, które śpiewały, grały i komponowały nie różniła się zasadniczo od położenia ich zachodnioeuropejskich koleżanek, to w muzykologii - a to ona bada historię muzyki i opowiada o niej - różnica była ogromna.

Zacznijmy więc od muzykologii. To niewątpliwie budujący fakt, że od początku XX stulecia aż tyle Polek zajmowało się muzyką od strony naukowej, a nie tylko jako pianistki i śpiewaczki.

Przede wszystkim były to zdolne Lwowianki. Proszę sobie wyobrazić, że już w 1926 roku asystentką na muzykologii we Lwowie została kobieta - Maria Szczepańska. Właściwie nic w tym dziwnego, bo należała do pierwszych absolwentów tego

kierunku, chociaż raczej należałoby powiedzieć – absolwentek: były to dwie kobiety i ksiądz. W Krakowie do grona piątki wykładowców pierwsza pani dołączyła w 1935 roku. I znów – nie było w tym nic aż tak nadzwyczajnego, bo przed wojną na Uniwersytecie Jagiellońskim habilitowało się 15 kobiet, w tym 2 na muzykologii. W Niemczech – sytuacja, na którą przyszło czekać zdolnym absolwentkom tego kierunku trwała jeszcze długie, długie lata.

Tytuły tytułami, ale potem stanowiska kierowników katedr i tak otrzymywali mężczyźni?

Owszem, w Niemczech i innych krajach europejskich, ale nie w Polsce. W Warszawie muzykologią kierowała Zofia Lissa – wybitna naukowiec i to na skalę międzynarodową. Stała na czele muzykologii od 1949 roku do 1975. Po niej nastąpiły kolejne panie (Anna Czekanowska, Zofia Helman), w latach 1996-1998 był zaledwie dwuletni okres, gdy kierowanie Instytutem Muzykologii powierzono mężczyźnie (Mirosław Perz) i znowu wróciły rządy kobiece. W Krakowie, po śmierci założyciela muzykologii na Uniwersytecie Jagiellońskim, czyli Zdzisława Jachimeckiego, jego stanowisko przejęła Stefania Łobaczewska i kierowała krakowską katedrą przez dziesięć lat, aż do śmierci. Potem kierowały nią następne muzykolożki, wśród nich Elżbieta Dziębowska – w dodatku redaktor naczelna wielotomowej Encyklopedii Muzycznej PWM; kolejna funkcja, na którą żadna

kobieta nie miała wtedy szans w jakimkolwiek zachodnioeuropejskim państwie. I to trwa aż do dzisiaj: zarówno w kadrach jak i na stanowiskach kierowniczych w muzykologii wyraźnie dominują kobiety. Trudno więc się chyba dziwić, że poczucie dyskryminacji z racji płci nie bardzo mogło dojść do głosu w tym środowisku.

Jak doszło do tego, że zainteresowała się Pani tym tematem, w efekcie czego powstała książka *Muzyka i płeć*?

Moje zainteresowanie było wynikiem małego szoku. Doznałam go, oglądając listę wykładowców muzykologii w Kolonii, a potem patrząc pod tym kątem na inne niemieckie ośrodki. Kobiety stanowiły tam – i to jeszcze w latach dziewięćdziesiątych – margines! Dla mnie było to niezrozumiałe i stąd wynikło zaciekawienie owym egzotycznym wtedy jeszcze w Polsce wątkiem „genderowym”, a w efekcie wyszła książka *Muzyka i płeć*. Zresztą muszę przyznać, że przyjęto ją z umiarkowanym zainteresowaniem. Mniej więcej w tym samym czasie opublikowałam książkę *Muzyka i polityka*, która wzbudziła znacznie większy rezonans i szybciej wyczerpał się nakład. A *Muzyka i płeć* traktowana była jak ciekawostka na temat, który wtedy obchodził jeszcze niewielu.

Po lekturze książki *Muzyka i płeć* doszłam do wniosku, że kobiety, które wbrew przeciwnościom i konwenansom

zostały dyrygentkami i kompozytorkami, musiały włożyć o wiele więcej wysiłku w swój rozwój zawodowy niż mężczyźni. Niektóre rezygnowały ze szczęścia osobistego, aby poświęcić się muzyce, tak jak Antonia Brico, przypominiana niedawno w filmie Marii Peters *Dyrygentka*. Ale są też panie, którym udało się pogodzić jedno z drugim?

Tak, na przykład Grażyna Bacewicz sama mawiała żartobliwie o wewnętrznym „motorku”, który napędza ją niespożytą energią. Było to konieczne, bo jej działalność naprawdę wymagała sporego nakładu energii. Nie ma innego wyjścia dla kobiet, które chcą zawodowo zajmować się muzyką i mieć rodzinę. Bez tego „motorka” brakuje motywacji i siły, żeby to wszystko ogarnąć.



■ Maria Szymanowska, ok. 1830 r., Muzeum im. Adama Mickiewicza w Paryżu, fot. wikimedia commons



Geażyna Bacewicz, fot. wikimedia commons

Utwory Grażyny Bacewicz grywano w Niemczech. Czy inne polskie kompozytorki też są znane u naszych zachodnich sąsiadów?

Niektóre z nich stały się znane, ale trudno w tym wypadku mówić o sławie. Można powiedzieć, że dowiedziano się o ich istnieniu, i że doczekały się zainteresowania dzięki nagrodom zdobytym w konkursie dla kompozytorek w Mannheim, w którym

z powodzeniem uczestniczyła (z dość liczного grona Polek) między innymi Krystyna Moszumańska-Nazar. Ów konkurs był inicjatywą pionierską, mającą zachęcić kompozytorki do wchodzenia w życie muzyczne, w dziedzinie faktycznie zdominowanej wówczas prawie całkowicie przez mężczyzn. Dzisiaj kobiety wprawdzie nadal są mniejszością, ale – wyraźnie rosnącą. W tej chwili najbardziej znaną polską kompozytorką w Niemczech jest Agata Zubel.

W „tabeli kompozytorów” Petera Heilbuta, czyli chronologicznym zestawieniu nazwisk i dat życia twórców z różnych krajów, pojawia się tylko jedna Polka, Elżbieta Sikora i to w doborowym towarzystwie Sofii Gubaiduliny, rosyjskiej kompozytorki zamieszkałej w Niemczech.

To miło, bo Elżbieta Sikora, to znakomita kompozytorka. Dlaczego jednak tylko ona? Trudno mi powiedzieć. Sikora mieszkała i działała przez długi czas w Paryżu i może Heilbut akurat o niej usłyszał? Kiedy trzeba dokonywać wyborów w materiale tak obfitym, trudno czasem o konsekwencję, a na pewno – o wyczerpanie tematu.

W 1975 roku pierwsza polska dyrygentka Agnieszka Duczmal otrzymała wyróżnienie na odbywającym się w Berlinie Zachodnim IV Międzynarodowym Konkursie Dyrygentów im. Herberta von Karajana. A on powiedział na

konferencji prasowej w 1979 roku, że kobiety nadają się nie do orkiestry, lecz do kuchni. Jego wypowiedź przytoczyła Pani w książce *Muzyka i płeć*. Z czego Pani zdaniem wynika ta niechęć mężczyzn do kobiet zajmujących się muzyką, z którą spotykamy się nawet dzisiaj?

Odpowiedź za to pytanie wymagałaby potężnego eseju. Ograniczę się zatem do dwóch uwag – bardzo poważnej i może mniej, ale na pewno nie pozbawionej sensu.

Pierwsza: w patriarchalnym społeczeństwie kobiety są podporządkowane mężczyznom. Grają w orkiestrze? To dobrze, skoro muszą. Siadają przy fortepianie jako solistki? To też można znieść, zwłaszcza jeśli grają ładnie i porywająco. Ale stanąć przed orkiestrą i kierować zespołem, w dodatku w znacznej mierze męskim? To było jeszcze niedawno temu wręcz niewyobrażalne. Wystąpić z symfonią, albo operą, stając w szranki w roli „twórcy” z postaciami tak symbolicznymi jak Beethoven lub Wagner? To też dla wielu było nie do zaakceptowania i to na tej samej zasadzie, na jakiej kobietę w banku albo ministerstwie można było sobie wyobrazić w roli sekretarki, ale już nie dyrektora, a co dopiero ministra.

A teraz drugi kierunek szukania odpowiedzi, podpowiedziany mi zresztą kiedyś przez znajomego dyrygenta: zarobki są za dobre,

by oddawać je paniom. Proszę zauważyć: kobiety dopuszcza się do zawodów, które nie wabią samców alfa ani prestiżem, ani oszałamiającymi honorariami. I to też nie jest sytuacja znana tylko wśród muzyków.

Wracając do wątku Agnieszki Duczmal, to powyższe wyróżnienie nie było jej jedynym znaczącym sukcesem?

Nie. Dwa lata później Duczmal założyła orkiestrę w Poznaniu i kieruje nią do dzisiaj na zmianę z córką, która przejęła po niej pałeczkę, a ściślej mówiąc batutę. Znane są dynastie dyrygentów, a to byłaby pierwsza na świecie dynastia dyrygentek.



Agnieszka Duczmal, fot. Jarosław Roland Kruk, [wikimedia commons](#)



Elżbieta Sikora, fot. wikimedia commons

Jedną z bohaterek książki *Muzyka i płeć* jest Maria Szymanowska (1798-1831), która w czasach niesprzyjających kobiecej emancypacji przejawiała daleko idącą samodzielność. Obecnie pracuje Pani nad jej obszerną biografią. Na jakim jest Pani etapie?

W tej chwili porządkuję zebrane materiały i szukam odpowiedzi na kluczowe pytania, jakie pojawiły się w trakcie pracy. Jednym z

nich jest to, co naprawdę skłoniło Marię Szymanowską do wyruszenia w świat w roli wirtuozki fortepianu. Ona sama wielokrotnie mówiła, a i pisała – co pozwalało potem na skrętne cytowanie jej słów – że zdecydowała się na ów krok po rozwodzie z mężem, chcąc tym sposobem zarobić na utrzymanie dzieci. Miała ich trójkę – dwie córki i syna. Tymczasem ja nie bardzo wierzę w to, że taka była jej główna motywacja. Nie wierzy w to również Doris Bischler, autorka znakomitej pracy doktorskiej o Szymanowskiej wydanej przed paroma laty w Berlinie. A czemu? Bo wygląda na to, że Szymanowska po prostu chciała spróbować „bycia gwiazdą” i zwiedzić świat. Osiągnąwszy trzydziesty rok życia, zapragnęła przeżyć niezwykłą przygodę, podbijając europejskie stolicy jako pianistka porównywana z największymi ówczesnymi gwiazdami, oczywiście – mężczyznami. W tych czasach – życzenie skrajnie ekstrawaganckie.

W początkach XIX wieku kobiety – z wyjątkiem śpiewaczek – nie były zawodowymi muzykami. Miały siedzieć w domu i zajmować się dziećmi oraz mężem. Ona natomiast mówiła o konieczności zarabiania na dzieci dając do zrozumienia, że postanowiła samodzielnie je wychowywać, nieomal bez wsparcia ani pomocy męża. Tymczasem dzisiaj, gdy czytamy listy od niej i do niej odkrywamy, że kiedy mama ruszyła w świat, dzieci zostały w podwarszawskim majątku ojca. Pretekst był więc sprytny i pozyskiwał jej sympatię, bo w przeciwnym wypadku zapewne budziłaby zdziwienie i zgorszenie.

Rzeczywiście była samowystarczalna i osiągała sukcesy. A czy pojawił się w jej życiu jakiś autorytet muzyczny, który wskazał jej właściwą drogę?

Nie w tym sensie, jak rozumielibyśmy to dzisiaj. W Warszawie pod koniec XVIII wieku właściwie nie było wybitnych osobowości muzycznych, bo czas rozbiorów i powstań nie sprzyjał sztuce. Szymanowska nie miała więc szans na naukę u jakiegoś wybitnego muzyka – na co mogłaby sobie zapewne pozwolić w ówczesnym Wiedniu. Uczyła się więc u miejscowych pedagogów, miała okazję podsłuchiwać znakomitych wirtuozów przejeżdżających przez Warszawę w drodze do Rosji. Dopiero w 1819 roku zdarzyło się, że w Warszawie pojawił się Franz Xaver Mozart – syn Wolfganga, znakomity pianista działający od lat we Lwowie, który wyruszył w podróż koncertową. Wcześniej słyszał o znakomitej warszawskiej pianistce, więc oczywiście postarał się o to, aby nawiązać z nią znajomość. I uznał, że ma ona wprawdzie wielki talent, ale... – i widocznie to „ale” dał jej do zrozumienia. Parę miesięcy później Szymanowska wybrała się więc do Drezna, by wziąć u niego kilka lekcji. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że pojechała na „kurs mistrzowski”. Widocznie była na tyle rozsądna, by potraktować krytyczną opinię Mozarta poważnie i postanowiła udoskonalić swoje umiejętności. Całe jej postępowanie wskazuje zresztą na to, że miała nie tylko wielką fantazję – ale także dar przewidywania i rozsądnego planowania. Dla artystki (i nie tylko) – to wymarzona

kombinacja.



Danuta Gwizdalanka, fot. Krzysztof Meyer

Wieloma mitami i legendami obrósł wątek przyjaźni Marii Szymanowskiej z Johannem Wolfgangiem Goethe. Jak Pani podchodzi do tego tematu?

Ostrożnie. Był to bowiem epizod w życiu Szymanowskiej, a tymczasem z powodu wagi czy popularności osoby Goethego oraz pewnego wiersza, nabrał wyjątkowego znaczenia. Ta

znajomość stała się bodaj najczęściej relacjonowanym wydarzeniem z jej biografii. Zaczęło się w Marienbadzie, dokąd Maria Szymanowska przyjechała w towarzystwie siostry i brata 8 sierpnia 1823 roku. Tydzień później Szymanowska i jej siostra spotkały się z Goethem i 74-letni poeta miał wtedy okazję posłuchać gry 34-letniej pianistki. Był zachwycony, a pamiątką po ich spotkaniu stał się wiersz, zapisany w sztambuchu pianistki. Szymanowska zbierała bowiem autografy – w tym czasie zajęcie dość popularne. Ten wiersz wyrażał zachwyt dla muzyki, która niesie ukojenie w cierpieniu, a sędziwy poeta przeżywał wówczas uczucie do młodszej o 54 lata Ulryki von Levetzow. I stąd owe słowa:

Pojednanie

Do Madame Marii Szymanowskiej

Namiętność męką! Któż da, by ucichło

To serce, które strat swych już nie zliczy?

Kędyż godziny, co zbiegły tak rychło?

Próżno czar kwitnął największej słodyczy!

*Mrok w duszy, źródło natchnienia zmącono,
Świat wzruszeń świętych okrył się zasłoną.
Lecz oto skądś powstaje muzyka,
Dźwięki splatając w tonów miliony;
Całą istotę ludzką wskroś przenika,
Aż duch jej wiecznym pięknem napełniony.
Łza wilży oko, a duszy żywiołem
Niebiańskie dobro dźwięków i łez społem.
I czuje serce z ulgą niespodzianą,
Że jeszcze bije, chce bić, by w ofierze
Za przeobfitą łaskę otrzymaną
Samo się oddać ochotnie i szczerze.
I w dziękczynieniu błogim się odśłania*

Podwójne szczęście: dźwięków i kochania!

(przekład z niemieckiego Alina Świderska)

Wiersz ten trafił potem do *Trylogii namiętności* (*Trilogie der Leidenschaft*), przez wielu uznanej za jedno ze szczytowych osiągnięć romantycznej poezji niemieckiej. Tym sposobem, opiewając muzykę jako pocieszycielkę, Goethe unieśmiertelił Szymanowską w środowisku pozamuzycznym. Przed paroma laty ukazała się powieść Martina Walsera *Ein liebender Mann*, której tematem jest owa ostatnia, marienbadzka miłość Goethego i pisarz dwukrotnie wprowadził na jej karty Marię Szymanowską wraz z pytaniem: czy muzyka emocje łagodzi czy raczej ekscytuje?

Patrząc na pobyt w Marienbadzie z perspektywy Szymanowskiej łatwo dostrzec, że dla niej samej ważniejsze i ciekawsze było chyba tamtejsze spotkanie z kompozytorem i pianistą Václavem Tomáškiem, skoro po to, by wspólnie z nim pograć, przedłużyła dla niego pobyt w tym miejscu. No, ale to nie ma tej siły medialnej co przeżycia sławnego poety poruszonego jej grą...

Dziękuję za rozmowę i czekam na ukazanie się książki.

Linki:

https://issuu.com/pwmeditation/docs/stonasto_monografiabox_pl_promocja

https://www.amazon.de/Hundred-Years-Polish-Music-History/dp/8322450192/ref=sr_1_7?__mk_de_DE=%C3%85M%C3%85%C5%BD%C3%95%C3%91&dchild=1&keywords=Gwizdalanka&qid=1621609848&sr=8-7

*

Zobacz też:

Chopin zabrzmiał w sieci

Czy Sopot stanie się na powrót „Bayreuth Północy”?

Róża Parczewska – zapomniana malarka z Wileńszczyzny. Część 2.

JOLANTA KLIETKUTĖ (*Kretynga, Litwa*)

Stanisława Kucewicz (*tłumaczenie*), **Joanna Sokołowska-Gwizdka** (*redaktor wersji polskiej*)



W niemieńczyńskim kościele, fot. Adomas Daukša, LDM, Fi 1986
Malarstwo religijne w kościołach

W XVI w. w większości państw Europy Zachodniej w koncepcji sztuki nastąpił przełom, którego istota polegała na autonomii osobowości artysty, zrozumieniu, że sztuka rządzi się nie tylko zasadami, ale przede wszystkim zależy od talentu, wyobraźni i intuicji autora. Renesans zamknął etap historii sztuki anonimowej i otworzył historię sztuki autorskiej. Wtedy znalazły się, w dzisiejszym rozumieniu, kopie dzieł sztuki – jako

powtórzenie znanych prac słynnych malarzy. Pojawienie się kopii i ich rozpowszechnienie, było także związane z początkiem zbierania kolekcji dzieł sztuki: nie mając możliwości posiadania eksponatów, należących do innych właścicieli, miłośnicy sztuki, zamawiali kopie. Jednak fenomen kopii w Europie Zachodniej w malarstwie jest jeszcze bardzo mało zbadany.

Zarówno profesjonalni jak i mniej wykształceni malarze byli pod silnym wpływem ikonograficznych przykładów. Na Litwie rozpowszechniły się różnego typu druki, małe obrazki o treści religijnej, przeznaczone do prywatnej modlitwy. Powstawały też obrazy dużych rozmiarów, które można było zawiesić w kościele lub w kaplicy. Do połowy wieku popularne były litografie ze słynnych niemieckich i francuskich drukarni. Miejscowi malarze chętnie korzystali z dzieł pochodzących z Europy Zachodniej i Środkowej, lub ich grawerowanych reprodukcji. Używali ich jako punkt wyjścia w swoich dziełach.

Róża Parczewska od miniatur przeszła do malowania farbą olejną dużych obrazów dla kościołów. Skromna i pokorna malarka fachowo i dokładnie kopiowała prace przedniejszych mistrzów. Jednak pomimo – odpowiednich kwalifikacji, nie odważyła się, aby tworzyć oryginalnie. Władysław Syrokomla o jej pracach pisał:

znawca oddaje pochwałę przezroczystości kolorytu; widne tam umiejętne traktowanie draperyj, precyzja cieniów, gradacya swiateł, umiejętne wydanie muskułów, a nadewszystko uzucie, które kierując ręką niewiasty artystki, hojnie okupuje właściwy jej płci niedostatek – brak śmiałej energii w pociągach pędzla, brak szczegółowych anatomicznych studjów.

Obrazy dużego formatu malowane farbami olejnymi, podarowała kilku kościołom. Według pracy, malowanej ok. 1756–1758, Szymona Czechowicza (1689–1775), która była w wileńskim kościele św. Katarzyny, 1831 r., Róża Parczewska namalowała obraz „Niepokalane Poczęcie Najświętszej Panny Maryi” (nazywany „Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny”), i podarowała go do kościoła franciszkańskiego w Kretyndze. W akcie wizytacyjnym kościoła z tego okresu wspomina się nowy, duży (211–124 cm) wspaniały obraz Maryi Panny. Na odwrocie obrazu, w górnej części pod ramą pomocniczą znajduje się napis w języku polskim „R 1831. Malowała panna Ruża Parczewska Pułkownikówna w Cerwonym Dworze”. Latem 2017 r. ten obraz został odrestaurowany przez Kęstutysa Banysa, konserwatora polichromii Muzeum Sztuki M. K. Cziurlionis.



Szymon Czechowicz, ołtarz w węgrowskim kościele w Polsce



Szymon Czechowicz, wileńskim kościele św. Katarzyny,
LDM, T 15942

Jeszcze jeden obraz według dzieła Szymona Czechowicza w 1837 r. namalowany przez Różę Parczewską, wisi w jednym z piękniejszych kościołów XVIII-XIX w. na Białorusi – w Grodzieńskiej Katedrze, w kaplicy Matki Bożej Studenckiej, na ołtarzu z cudownym wizerunkiem Matki Bożej. Na odwrocie obrazu, jak i na obrazie, który znajduje się w Kretyndze, jest podpis autorki. Wcześniej ten obraz zasłaniał znajdujący się w

ołtarzu obraz Maryi Snieżnej (Rzymski kościół S. Maria Maggiore). W roku 1923 białoruski, litewski i polski archeolog, historyk sztuki i numizmatyk, Józef Jodkowski (1890–1950) pisał, że namalowany przez Różę Parczewską obraz N. M. P. Niepokalanego Poczęcia został uszkodzony przez restaurację, bo restauracja przeprowadzona została przez nieudolnego malarza od szyldów. Ten obraz jest skromniejszy, nie tak starannie namalowany, nie ma na nim tak obfitego zastępu aniołów, jak na obrazie w kościele w Kretyndze.

W Kretyndze obraz Róży Parczewskiej jest uważany za cudowny, w 1986 r. wisiało nad nim 45 wot – znaków wdzięczności za otrzymane cuda. W styczniu 2018 r., na ścianie była zawieszona deska obciągnięta czerwoną wstęgą, na którą przeniesiono 96 wot. Obraz Kretyngskiej Najświętszej Maryi Panny został wpisany do rejestru dóbr kultury (pod kodem 20195).

Jednak zdaniem białoruskich badaczy sztuki, obraz Matki Bożej z Grodna nie jest na tak wysokim poziomie artystycznym, aby przyciągnąć uwagę naukowców.

Możliwie, że do namalowania obrazu Niepokalanego Poczęcia Marii Panny natchnęło malarzkę wydarzenie, które miało miejsce 27 listopada 1830 r. Siostrze zakonnej z kongregacji Paulinów św. Wincentego, Katarzynie Laboure (Catherine (Zoe) 1806–1876) objawiła się Matka Boska nakazała zakonniczy

wybicie i rozpowszechnianie medalika z wizerunkiem NMP Niepokalanego Poczęcia. Medalik ten szybko zasłynął cudami.



Róża Parczewska 1871 r., „Niepokalane Poczęcie Najświętszej Panny Maryi” w kościele w Kretyndzie, fot. Jolanta Kietkutė, 2017 r.

Namalowane przez Różę Parczewską obrazy, znajdujące się w Kretyndzie i w Grodnie, przedstawiają Najświętszą Pannę w niebie jako Niepokalane Poczęcie – temat łączy ikonograficzne typy Niepokalanego Poczęcia i Wniebowzięcia Maryi Dziewicy, które często w dziełach są połączone. W Europie szczególnie

popularne były kopie obrazu „Niepokalana” autorstwa Bartolomea Estebana Murillo (1617–1682). Namalowane dzieło kopiowali zawodowi malarze, wyrobnicy warsztatów kościelnych i amatorzy. Spośród 30 dzieł stworzonych przez B. E. Murillo na ten temat na Litwie najczęściej były kopiowane dwa: „La Inmaculada de Soult” (1678, muzeum w Pradzie) i „Immaculata” (około 1680, Ermitaż, kolekcja Roberta Valpole). Znajdujący się oryginał w Ermitażu w swoich pracach powtórzył Szymon Czechowicz, którego pracę bardzo dobrze skopiowała Róża Parczewska.

Możliwie, że i inne swoje prace Róża Parczewska malowała wzorując się nie na kopiach, a nie na reprodukcjach Szymona Czechowicza, wydanych w 1815 r.

Dla kościoła św. Michała Archanioła w Niemenczynie Róża Parczewska podarowała obraz o niepopularnej fabule w litewskiej sztuce sakralnej „Rozmowa Chystusa z Nikodemem”. Obie figury wielkości naturalnej, siedząc rozmawiają przy stole, nad którym wisi starożytna lampa. Obraz spłonął 2 sierpnia 1842 r. podczas pożaru w miasteczku, kościół w tamtym czasie był drewniany. W latach 1848–1855 został wybudowany murowany kościół, którego fundatorem był brat Róży, Aleksander Parczewski. Wzorując się na jednym z najbardziej znanych włoskich malarzy renesansu Rafaela (1483–1520) Róża Parczewska w 1837 r. namalowała obraz „Przemienienie

Chrystusa” (6 arszynów długości i 3 szerokości). Ten obraz został przeznaczony do kaplicy Niepokalanego Poczęcia NMP w Katedrze Wileńskiej. W katedrze obraz wisiał kilkanaście lat, a po śmierci malarki, za pozwoleniem wileńskiego biskupa Wacława Żylińskiego (1803–1863), jej brat Aleksander przeniósł obraz na główny ołtarz świątyni w Niemenczynie. W roku 1920 w dokumentach kościelnych zapisano, że na głównym ołtarzu znajduje się cudowny obraz „Szkaplerznej” (Świętej Matki Bożej z góry Karmel), zasłonięty obrazem „Przemienienie Chrystusa”. Obraz wraz z ołtarzem spłonął w 1947 r. podczas pożaru.



Róża Parczewska, 1837 r., „Niepokalane Poczęcie Najświętszej Panny Maryi” w kościele w Grodnie.



Fotografia z książki: Kałamajska-Saeed, M. Katedra w Grodnie.

Kraków, 2015, s. 424

W pierwszej połowie XX w. Róży Parczewskiej błędnie przyznano autorstwo jeszcze dwóch obrazów: „Święty Jerzy” i „Św. archanioł Michał”, jednak doktor hab. Rūta Janonienė wskazała, że te obrazy są pędzla Jana Moraczyńskiego (Jan Chwalibóg Moraczyński, pseud. Jan Chwalibóg od Wschodu, 1807–1870).

Oprócz czterech wspomnianych obrazów Aleksander Parczewski wymienia inne malowane farbą olejną:

1. obraz „Najświętszej Panny Bolesnej”, na którym była przedstawiona siedząca Matka Boża naturalnej wielkości, patrząca na leżący na kolanach wieniec cierniowy swego Syna. Praca wykonana została subtelnie, z pierwszego obrazu szkoły włoskiej, bardzo dokładnie zostały przeniesione szczegóły i koloryt. Zdaniem A. Parczewskiego to najlepsze dzieło siostry. Obraz był podarowany znajdującemu się w Żytomli kościołowi Niepokalanego Serca NMP. Musiał być namalowany i podarowany do 1831 r., bo należący do Konstantego Parczewskiego dwór Żytomla powiatu grodzieńskiego z 761 mieszkańcami został w 1833 r. skonfiskowany a udział w powstaniu po aresztowaniu właściciela.

2. „Ukazania się Chrystusa Apostołom” (z czarnego sztychu Rembrandta) – obraz nieduży (45×52 cm), na którym pięknie zostało odzwierciedlone światło i figury znajdujące się w cieniu.

3. „Uwolnienie św. Piotra z okowów przez Anioła” (według Pompeo Batona).

4. „Św. Romuald śpiący”. Fabuła obrazu – marzenie założyciela Zakonu Kamedułów o mnichach wznoszących się po drabinie do nieba, co oznacza, że królestwo niebieskie osiąga się przez

wspinanie się po schodach doskonałości.

5 i 6 – o niedużej wielkości obrazy: „Głowa Chrystusa Pana”(Acheiropita) i „Chrystus pomiędzy faryzeuszami”.

7. „Madonna” (według Il Garofala – Benvenuto Tisi)
przedstawiona Św. Maryja Panna ze złożonymi rękami do modlitwy.

8. „Sąd św. Pawła”.

9. Portret Zofii Potockiej (według Giovanni Battista Lampi).

10. „Maryja Egipcjanka”. Zdaniem A. Parczewskiego, obraz był *pięknie i śmiało zaczęty lecz niezupełnie skończony*.

11. „Widok grobowca greckiego.

W nekrologu Ró Parczewskiej „Gazeta Warszawska” napisała, że malowała i pejzaże, jednakże w innych publikacjach nic o tym się nie wspomina.

Wszystkie prace malowane farbą olejną i miniatury, Róża Parczewska rozdawała. Kilka jej prac miała galeria Ermitażu w Sankt-Petersburga. Niestety sprawdzwszy zapasy galerii sztuk pięknych Europy Zachodniej w Ermitażu Sankt-Petersburga i

zapasy kultury rosyjskiej – prac Róży Parczewskiej nie znaleziono.



Róża Parczewska, 1837 r., kopia Rafaela, 1516–1520
„Przemienienie Chrystusa” (fragment)

Portret R. Parczewskiej

Róża Parczewska zmarła w 1852 roku, mając zaledwie 53 lata. W tym czasie fotografia w Wilnie już była znana prawie od dziesięciu lat. Możliwie, że Róża odwiedzała fotografa, może był wykonany portret, niestety nie wiemy, czy zachował się, a jeżeli jest w muzeach, czy w bibliotekach może być nazwany portretem nieznanym kobiety.

Portret malarki około 1838 roku namalował francuski malarz Antoine Maurin (1793–1860). Przedstawił ją ubraną w ciemną sukienkę, siedzącą przy stole z paletą i pędzlami. W Paryżu, w wydawnictwie Lemercier, w 1857 r. była wydana litografia. To dzieło rozprzestrzeniło się na świecie. Może być, że taką litografię miał Konstanty Parczewski w dworze Jakubowo i później podarował do klasztoru franciszkanów w Kretyndze, bo w 1913 r. w jednym z gościnnych pokoi na ścianie wisiał właśnie ten obraz Róży Parczewskiej otrzymany z dworu Jakubowo. Jednak teraz w klasztorze portretu nie ma.

W Wydziale Druku i Fotografii Francuskiej Biblioteki Narodowej w dziale portretów i mikrofilmów oraz w kolekcji Laruelle przechowywane są po jednym portrecie Róży Parczewskiej (i jeden jej bratanka Konstantego Parczewskiego) – naiprawdopodobniej to są te same prace litograficzne A. Mauriniego. Portret przedstawiający Róży Parczewską – litografię rzeźby A. Mauriniego – na Litwie możemy zobaczyć tylko w zakrystii kościoła w Niemenczynie.



Portret przedstawiający Różę Parczewską w zakrystii kościoła w Niemenczynie, fot. Jolanta Klietkutė, 2018 r.

Podsumowanie

Róża Parczewska w ciągu ostatnich 20 lat życia malowała obraz „Niepokalane Poczęte NMP”, jednak nie można go zobaczyć w grodzieńskim kościele, ponieważ jest ukryty w ścianie kościelnej. Nie wiadomo, czy pozostał obraz artystki „Najświętszej Panny Bolesnej” w kościele w Żytomli, ponieważ nikt nie odpowiedział na zapytanie.

Ołtarz kościoła w Niemenczynie z przełomu XIX i XX w. zdążył zachować fotograf Adam Dauksza, ale na zdjęciu widać zaledwie

kontury obrazu Róży Parczewskiej „Przemienienie Chrystusa”. Obecnie można zobaczyć tylko dzieło malarki – obraz ołtarza Matki Bożej w kościele w Kretyndze.

Róża Parczewska nie była zawodową malarką, nie miała odpowiedniego wykształcenia, jednak jako malarka amatorka osiągnęła niezłe wyniki: była pierwszą kobietą malarką, brała udział w wystawach i jej prace doczekały się słów pochwały. Współcześni badacze sztuki jej osiągnięcia w malarstwie oceniają średnio, jednak dwie prace, które zachowały się i są uznawane za specyficzne przykłady XIX w. malarzy amatorów, uznają za ciekawe i cenne.

Na przełomie XX-XXI w. uwagi dla Róży Parczewskiej nie brakuje (według E. Rastawieckiego, wspomina się w polskich, białoruskich, czeskich, amerykańskich oraz litewskich słownikach malarzy), jednak trzeba przyznać, że twórczość malarki jest mało znana, między innymi dlatego, że nie zachowały się jej prace. Twórczość Róży Parczewskiej jak i „twórczość większości malarzy przeszłości możemy oglądać tylko w zarysie, dlatego oceniać ich dorobek, znany jedynie ze źródeł pisanych, jest niezwykle trudno, zarówno przy zastosowaniu profesjonalnych kryteriów, jak i wyciągając ogólne wnioski”.

Wersja bez przypisów i bibliografii. W razie zainteresowania pełną wersją proszę kontaktować się z redakcją.

*

© Jolanta Kietkutė, 2021, Muzeum w Kretyndze

ISBN 978-609-475-746-4

Część 1:

Róża Parczewska – zapomniana malarka z Wileńszczyzny.
Część 1.

Róża Parczewska – zapomniana malarka

z Wileńszczyzny.

Część 1.



Róża Parczewska, rys. Antoine Maurin,
fot. Gintas Kavoliūnas, 2017 r.

JOLANTA KLIETKUTĖ (*Kretynga, Litwa*)

Stanisława Kucewicz (tłumaczenie), **Joanna Sokołowska-Gwizdka** (redaktor wersji polskiej)

Na Litwie, zarówno nazwisko, jak i prace malarki Róży Parczewskiej są mało znane, choć krótka informacja znajduje się w słowniku malarzy, to u naszych sąsiadów za granicą, prasa i inne źródła imię Róży Parczewskiej wspominają nawet i w czasach dzisiejszych.

Jeszcze niedawno na twórczość kobiet patrzono niepoważnie, ona nie była zachowywana, doceniana, nikt nie troszczył się o ich zbiory, nie badał dokumentów. Z tych powodów są znane tylko pojedyncze XIX w. egzemplarze twórczości kobiet – malarek, dlatego niemożliwie jest, aby na ten temat wyciągać jakiegokolwiek wnioski

– cytata dr. Jolanty Širkaitė bardzo dokładnie wskazuje na przyczyny, dlaczego na temat życia i twórczości malarki R. Parczewskiej zostało tak mało informacji.

Podstawowe i najwierniejsze źródło, odzwierciedlające osobowość malarki i wyliczające jej prace, jest wydana przez jej brata Aleksandra w 1854 r. książeczka „Mowy pogrzebowe po śp. Róży Parczewskiej”, czyli zbiór mów wygłoszonych na pogrzebie Róży Parczewskiej.

Wstęp do książeczki napisał Aleksander Parczewski, który jak nikt inny dobrze poznał jej życie i twórczość. Drugie źródło – to prasa tamtego czasu, w której czasem ukazywała się wiadomość o malarce z Wileńszczyzny. W 1854 r. ukazał się tekst w warszawskiej prasie, autorstwa Władysława Syrokomli (1823–1862), w którym autor docenił prace Parczewskiej. Dzięki niemu informacja o malarce była wydrukowana w pierwszym dużym wydaniu słownika polskich malarzy z 1857 r., wydanym przez Edwarda Rastawieckiego (1804–1874), pt. „Słownik malarzów polskich tudzież obcych w Polsce osiadłych lub czasowo w niej przebywających”.

Według źródeł pisanych XIX wieku, publikacji i materiałów ikonograficznych Litewskiego Muzeum Sztuki, publikacja zawiera przegląd biografii i twórczości malarki. Życie Róży, zebrane z różnych źródeł i przedstawione w tej publikacji, to zaledwie niewielki procent, tego, co można by o niej napisać. Postać ta zasługuje na znacznie bardziej szczegółowe studium historyczne, a może nawet na pióro pisarza.



Pałac Parczewskich w Czerwonym Dworze, w Niemenczynie, fot. Jolanta Klietkutė, 2018 r.

Droga życiowa

Róża Parczewska urodziła się 15 września 1799 r., w niemeńczyńskiej parafii w Czerwonym Dworze, w rodzinie pułkownika Ignacego (1770-1821) i Salomei z Dziewońskich (1770-1804) małżonków Parczewskich.

Po śmierci ojca w 1821 r., mając wówczas zaledwie 22 lata, postanowiła nigdy nie wyjść za mąż, aby nie zmienić sytuacji materialnej swoich braci – Aleksandra (1800 – 1860) i Konstantego (1801-1855), z którymi od najwcześniejszych lat

była bardzo związana. Poświęciła się wychowaniu sześciolatniego Antoniego Onufrego Erazma (1814–1897), syna ojca i jego drugiej żony Katarzyny Żukowskiej (1814–1897). Jej brat Konstanty na cześć siostry, swoją pierwszą córkę, nazwał imieniem Róża.

Róża Parczewska pomogła swojej bratanicy Salomei (ur. 1827), córce brata Aleksandra, zdobyć wykształcenie. W 1847 r. po śmierci Tekli (1810–1847), żony Antoniego Onufrego Erazma, opiekowała się ich dziećmi Felicją (1840–1918) i Konstantym (1843–1920). Bratanek Konstanty później zamieszkał we dworze Jakubowo (Kretyngski r.) tam przywiózł portret swojej cioci Róży.

Róża Parczewska swoje życie poświęciła rodzinie, miłosierdziu i malarstwu. Była osobą wykształconą, lubiła historię, literaturę, czytała w kilku językach obcych. Nie tylko bliskich, lecz i obcych ludzi urzekła swoją serdecznością, była czułą dla ludzi z różnych warstw społecznych i z różnym wykształceniem. Była osobą głęboko wierzącą, modliła się gorliwie za swoich bliskich, nie małą część dóbr materialnych przekazywała na działalność charytatywną.

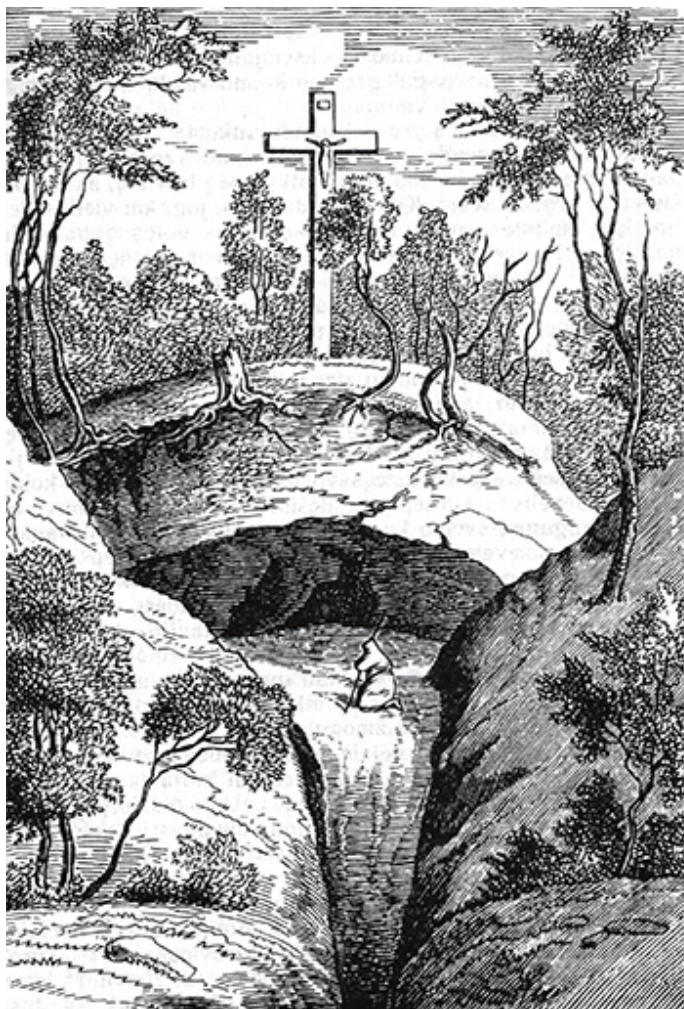
Pięć lat po śmierci Róży Parczewskiej, w 1857 r., litewski historyk, archeolog, etnograf i kolekcjoner Konstanty Tyszkiewicz (1806–1868) organizował ekspedycję naukową statkiem po Wilii do Niemna. W książce o podróży, pierwszy raz

wydanej w 1871 r. w Dreźnie Tyszkiewicz wspomina:

Tutaj spotkałem w ustach włościan najpiękniejsze – na jakie tylko może zasłużyć czysta i pocziwa dusza – wspomnienie o naszej znakomitej litewskiej artystce – pannie Roży Parczewskiej. Nazywają ją włościanie tutejsi swoim aniołem, któren, gdy im zszedł z tego świata, strasznie wiele pociechy dla nich ubyło; bo ona, jak mówią ludzie, o nikim nie zapominała nigdy; każdy u niej znalazł radę, pomoc w potrzebie lub pociechę w utrapieniu. Wysoki talent w malarstwie był stroną głośną, którą jaśniała ta niewiasta na Litwie; boć przecie Bóg rozdaje pomiędzy ludzi wyłącznych wielkie talenta na to, ażeby ich imię głośne na całym świecie przewodniczyło i przyświecało reszcie ludzi, nadając im kierunek moralny. Gieniusze rzadziej pojawiające się, talentą częściej rodzące się, przynoszą, z sobą, na tę ziemię jakieś posłannictwo dla postępu i dla szczęścia ludzkości całej, którego dopełnić muszą; bo świat zapełniony samymi tylko ludźmi pospolitemi, zwyczajnemi, nie odświeżany żadną nową myślą, ani ożywiony wzniosłą ideą, mającą pożyteczny kierunek, prędko by zestarzał, zbutwiał i spleśniał, jak pleśnieje woda, świeżym źródłem nie ożywiona.

– Panna Róża Parczewska, urodzona 15. Września 1799 r., w młodości rysunkowi miniatur oddana, nad temi długo

pracowała. Miniatury pędzła tej artystki znane są nie tylko na Litwie wśród rodzin prywatnych, a jej przyjaznych, jakim ta artystka ze swoich robót dary pamiątkowe czyniła: lecz i galeryja cesarska w Ermitażu kilka takowych posiada. Od miniatur przeszła Róża Parczewska do robót olejnych. Sceny święte stały się wyłącznym przedmiotem dla jej pędzla – celem zaś prac tej artystki były najczęściej obrazy do nowo wznoszących się kościołów na Litwie, do których okazałe ze swego talentu ofiary czyniła. Po szczegółową wiadomość o jej pracach malarskich, odsyłamy ciekawego do mów pogrzebowych, mianych po tej artystce, drukowanych w Wilnie w 1854 r., w których one z bliższą ich znajomością porządkiem są wyliczonemi. Miłość bliźnich, dobroczynność, gotowość do wszelkich ofiar – cnoty z największą skromnością cicho wykonywane – były stroną, moralną, mniej głośną tej osoby. Trzeba było, jak mnie się to zdarzyło, po Wilij popłynąć, zajrzeć w jej rodzinną okolicę, gdzie ona oddana cała sztuce, ostatnie lata swego pożytecznego żywota zakończyła, posłuchać głosu ludzi, którym jej chrześcijańskie cnoty szczęście przynosiły: żeby poznać i ocenić całą wartość moralną, jaką Bóg ozdobił tę kobietę. Panna Róża Parczewska umarła d. 20. Października 1852 roku. Zwłoki jej pochowanemi zostały w kościele niemenczyńskim. Cześć tej kobiecie, co umiała u ludu wiejskiego pozyskać taką miłość! Musiała ona być prawdziwie chrześcijańską niewiastą!



Święta skała w Lucianach poblizu pałacu Czerwony Dwór w Niemenczynie. Ilustracja z książki Konstantego Tyszkiewicza, 1871 r. i fotografia Jolanty Kłietkutė, 2018 r.

Ciche, pobożne i pokorne życie, które prowadziła malarka, doczekało się nie tylko pochwały, ale i zarzutów. Po kilku latach od jej śmierci, w prasie pojawiły się publikacje o możliwie zbyt bliskiej przyjaźni z księdzem, znanym w tamtych czasach wileńskim kaznodzieją, Ludwikiem Gabrielem Trynkowskim (1805–1849). W lipcu 1838 r. ksiądz Trynkowski był pojmany i oskarżony za to, że w swoich kazaniach *wypowiadał się przeciw carskiej władzy, podtrzymywał powstanie Szymona Konarskiego, należał do Narodowego Związku Polaków*. Wśród

skonfiskowanych dokumentów znaleziono kilka listów kompromitujących *jedną z najznacześniejszych w Wilnie panien*. Tym faktem, starał się zwrócić uwagę duchownych Kościoła Katolickiego, wileński wicegubernator Aleksej Trubecki (1806–1855). Róża Parczewska tym samym stała się obiektem plotek, ponieważ w tamtym czasie mówiono o niej jak o świętej – oddanej Bogu i służeniu biednym. Na skutek przesłuchań L. G. Trynkowski zachorował na chorobę psychiczną, lecz mimo to w 1839 r. został zesłany do Irkucka. Zmarł na zesłaniu, nie powróciwszy do zdrowia. Ta zachwycająca i niezwykle bolesna przyjaźń, duchowa więź, czy miłość jeszcze przez długie lata była omawiana przez polską i wileńską społeczność.

Większą część swojego życia malarka spędziła w domu, w kręgu rodziny, w Czerwonym Dworze, była słabego zdrowia, co roku zapadała na zapalenie płuc. Raz tylko w 1847 r., będąc ze swoją bratanicą – Salomeą w Ciechocinku, aby leczyć płuca, zwiedziła Częstochowę i Warszawę. Niestety pobyt w uzdrowisku nie pomógł, przez kilka miesięcy była bardzo chora. W następstwie choroby 20 października 1852 roku o godzinie 12 w nocy, po uprzednim opatrzeniu Świętymi Sakramentami odeszła na zawsze, w otoczeniu bliskich w Czerwonym Dworze.



Kościół św. Michała Archanioła w Niemenczynie, fot. Jolanta Klietkutė, 2018 r.

22 października 1852 r. odbył się pogrzeb Róży Parczewskiej w kościele św. Michała Archanioła w Niemenczynie, pochowana została w kościele obok ojca, matki i ojca drugiej żony. W czasie pogrzebu świątynia była wypełniona ludźmi pogrążonymi w żałobie. Na pogrzebie przemawiali: ksiądz z Kernowy, Michał Jabłoński, profesorowie wileńskiego seminarium Fortunat Ciechanowski i Augustyn Lipnicki.

W ścianie prezbiterium niemeńczyńskiej świątyni są wbudowane dwie pamiątkowe tablice autorstwa rzeźbiarza Józefa Kozłowskiego (1814/18–1863). Tablice są ozdobione ornamentem

na ramkach, zostały poświęcone na uroczystości pamięci konsekracji kościoła oraz tu pogrzebanym członkom rodziny Parczewskich dedykowane: Ignacemu Parczewskiemu, jego żonom Salomei i Katarzynie oraz córce Róży. Obok imienia i daty tylko przy Róży Parczewskiej wykute są słowa: *poświęciwszy swe życie Rodzinie i Ludzkości, 20 października 1852 r. do wieczności powołana została.*



Pamiętkowa tablica w ścianie prezbiterium niemeńczyńskiego kościoła, fot. Adomas Daukša. LDM, Fi 1983 r.

Róża Parczewska nawet po śmierci przyczyniła się do odbudowy kościoła w Niemenczynie w 1854 r. Jak już wspomniano, Aleksander Parczewski opublikował broszurę, w której były mowy wygłaszane na jej pogrzebie. Cały dochód ze sprzedaży tych książek został przeznaczony na odbudowę kościoła w Niemenczynie po pożarze.

W 1857 r. Aleksander Parczewski w sanktuarium kościelnym w Niemenczynie wybudował kaplicę – mauzoleum, do której nie przeniósł zwłok z kościoła. Później tu byli grzebani krewni Parczewskich. Dziś w kaplicy znajduje się 11 grobów: Aleksander Antoni Parczewski (1856-1857), Aleksander Parczewski (1796-1860), Stefania Parczewska (Eismont) (1824-1897), Antoni Onufri Erazm Parczewski (1815-1897), Aleksander Antoni Stanisław Parczewski (1884-1914), Ignacy Jakub Parczewski (1854-1919), Józefa Eleonora Parczewska (1858-1902), Marja Tekla Ludwika Parczewska (Mackewicz) (1862-1918), Stanisław Tadeusz Parczewski (1860-1922), Michał Tomasz Parczewski (1928-1939), kolejna krypta jest poświęcona kościom zebrany podczas kopania fundamentów kaplicy.



Kaplica-mauzoleum rodziny Parczevskich obok niemeńczyńskiego kościoła, fot. Jolanta Klietkutė, 2018 r.

Malowanie miniatur

Pod koniec XVIII w. i na początku XIX w. niemało dworzan, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, próbowało swoich sił w malarstwie, choć nie byli w tym kierunku wykształceni. Jedną z pierwszych znanych malarek z początku XIX w. była żyjąca w Wilnie Ona Radvilaitė-Mostovskienė, która wzięła do rąk pędzel już pod koniec XVIII w. Na początku XIX w. w dworku Zawiersza malowała akwarele Marija Mirskytė-Šumskienė, siostra malarza Edvarda Jana Romera, Anna Romerytė rysowa i malowała portrety bliskich, wnętrza dworów i widoki okolic. W dworku

Wieprie mieszkała Pelageja Kosakowska, która była żoną Aleksandera Saint Clar de Bover, razem z mężem rysowała i malowała. Córką Tyzenhauza Helena i Marija Pszezdecka, również lubiły rysować i malować akwarele. Siostry Konstantego Tyzenhauza – Sofija Choisseul-Gouffier i Aleksandera Guntherienė też amatorsko rysowały i malowały.

Korzystanie z pracy własnych rąk w wyższych sferach było wówczas sprawą niegodną szlachcica, dlatego malowano dla swojej przyjemności, albo żeby pokazać się w towarzystwie. Warto przypomnieć, że w wieku XIX w życiu politycznym, socjalnym, ekonomicznym, kulturowym i w innych dziedzinach kobiety egzystowały w cieniu mężczyzn. Ich udziałem było bycie żoną, matką i gospodynią domu. Córkę bogatszych rodziców otrzymywały wykształcenie początkowe w domu, dalej pobierały naukę w żeńskich gimnazjach, w szkołach lub pensjonatach, założonych przez osoby prywatne, albo przy świątyniach czy klasztorach. W pensjonatach odbywało się nauczanie języków obcych, geografii, matematyki, historii, robótek ręcznych, tańców, muzyki, rysunków, śpiewu. Dużo uwagi zwracano też na wychowanie moralne oraz religijne. Panienki otrzymywały takie wykształcenie, żeby mogły pokazać się w wyższych sferach: umieć tańczyć, grać na fortepianie, dostojnie i swobodnie zachowywać się w salonach, znać etykietę i umieć prowadzić konwersację na różne tematy. Zajęcie się malarstwem, muzyką, czy literaturą dla młodych dziewczyn było modnym spędzaniem

czasu, jednak po zamążpójściu sytuacja zmieniała się – hobby miało nie przeszkadzać obowiązkom rodzinnym. Malarstwo więc sprowadzało się do rysunków i malowania akwarel w albumach dworskich. Kobiety, które zdecydowały się zostać malarkami, musiały wyrzec się życia osobistego. Gdzie i kiedy Róża Parczewska uczyła się malarstwa – nie wiadomo, jednak wybrała w tamtych czasach niełatwą, niewdzięczną rolę kobiety – malarki. Malarstwo stało się częścią jej drogi życiowej.

W młodości Róża Parczewska zajmowała się wyłącznie malowaniem miniatur. W 1825 r. malarka na wzór pracy francuskiego malarza Jeana Petitot (1607–1691) na słoniowej kości namalowała miniaturę o rozmiarach 5,8 x 5,1 cm „Chrystus Pan”. Ta miniatura na początku XXI wieku była wystawiona na sprzedaż na aukcji internetowej. W 1827 r., 19 października wielki książę Mikołaj (syn imperatora Pawła) odwiedził Wilno. Podczas wizyty, w podzięk dla Róży Parczewskiej za podarowaną mu miniaturę „Zbawiciela” (według Jeana Petitota), namalowanej na słoniowej kości, wręczył jej fermuar brylantowy.

Róża Parczewska była pierwszą kobietą na Litwie, która uczestniczyła w wystawach sztuki. W 1822 roku pierwszy raz w historii imperium rosyjskiego pozwolono kobietom brać udział w wystawie malarskiej. Wówczas „panna Róża Parczewska, sposobem bardzo pięknym miniaturowym, zrysowała Najświętszą Matkę, trzymającą na ręku Pana Jezusa”.

Wystawy prac malarskich, rysunków, rzeźb miały zapoznać lokalną społeczność z pracami studentów Wileńskiego Uniwersytetu, wydziału malarstwa. Pierwsza wystawa odbyła się w 25-30 czerwca 1820 r. Później wystawy odbywały się co roku, a od 1824 r. – co dwa lata aż do zamknięcia Uniwersytetu. W 1822 r. „Dziennik Wileński” sporo uwagi przeznaczył wystawom, jednak przeproszał czytelników, że z powodu obfitości prac nie może ich wiele pokazać. W publikacjach autorzy byli nie tylko chwaleni, ale i mocno krytykowani za błędy, nie właściwie wybrany pierwowzór albo za nieodpowiednie kopiowanie i podobieństwo koloru farb. Jediną kobietą wśród mężczyzn i jedyną autorką, która w tej publikacji otrzymała słowa pochwały była Róża Parczewska.

N^o 301

D. 9. Listopada.

PIĄTEK.

ROK 1827.

KURJER

Warszawski

WSPOMNIENIA.

Unja Kawalerów
Polsko-Maltań-
skich 1785.

NOWOŚCI WARSZAWSKIE.

Onegdaj, w niektórych okolicach okilkamił od Warszawy spadły śniegi w bardzo znacznej ilości. — Dziś zimna stopni 3.

Za 100 zł: w List: Zastaw: bez 2ch kuponów, białych. Przedający żądają zł: 85 gr: 15. Kupujący ofiarują zł: 85. Istotnie przedano od zł: 85 gr: 7 i pół do zł: 85 gr: 15.

W Księgarni Józefa Pukszy przy ulicy Sto Jańskiej Nr 21, wyszło z druku nakładem tegoż, Dzieło pod tytułem: *Kwentyn Durward czyli Skot przy Dworze Ludwika XI.* Tłómaczenie z *Walter Skotta* w 4ch tomach na zwyczajnym papierze, cena zł: 16. — W tejże Księgarni dostać można Dziełka pod tytułem: *Kawaler z Zakonu Maltańskiego* powieść historyczna w 2ch tomach, cena zł: 7.

IPani Maria Szymanowska pierwsza Fortepianistka NN. CESARZOWYCH, wyjechała do miasta Moskwy.

Wczoraj na ulicy Czerniakowskiej znaleziono nieżywego ubogiego Człowieka, mogącego mieć lat 60, tkniętego apopleksją.

Walc sentymentalny z 4ch części, tudzieżiany do tańca, *Mazur i Galopada* przez *Serravalle*, dedykowane Xiężniczce *Terezie Sarpieżance*, wyszły świeżo z litografii A. Brzezińskiego, sprzedają się u tegoż i w składach *Klukowskiego*, tudzież *Florentyniego* na przeciw Bernardynów, gdzie także znajdują się do nabycia podobne dziełka tegoż autora.

Z *Augustowa*. — W dniu 27 Października

o godzinie 10tej z południa, nadeszło *Kanałem* 12 Berlinek z Warszawy przez JP. *Raszkę* dla Dyrekcji Kanatu częścią żelazem, częścią kamieniami ciosowymi wypawionych. Ciekawość oglądania takowych nigdy tu niewidzianych a nadewszystko przepuszczenie podobnego rodzaju statków poraz pierwszy przez Szluzę pod *Augustowem*, spowodziło kilkasiet mieszkańców wszelkiego stanu i wieku po nad brzeg portu, co sprawiło nader piękny widok; a porządek i szybkość w puszczeniu i przepuszczaniu statków przez Szluzę, zadziwiło nie tylko Publiczność ale nawet Szyprów. — J.R.

Z *Wilna* 21 Paździ: w. s. (Zł. L.)

Jego Cesarska Wysokość Wielki Xiążę Jegomość *MICHAŁ PAWEŁOWICZ*, powracając z podróży do Warszawy, raczył przybyć do naszego miasta, d. 19 t. m. około godziny 4tej z południa, i po zmianie koni w dalszą udał się drogę. — N. CESARZ JEGOMOŚĆ raczył udarować fermoarem brylantowym Pannę *Różę Parczewską*, za ofiarowanie Jego Cesarskiej Mości własnej pracy, *Wizerunku Zbawiciela*, wykonanej sposobem miniaturowym.

W *Kurjerze Litewskim* umieszczony jest obszerny raport Nauczyciela Fizyki w Gimnazjum Białostockim, Radey dworu *Jana Wolskiego* o nadzwyczajnem zdarzeniu, spadania kamieni w okolicach *Białegostoku*. Umieszczamy z tego opisu parę wyjątków. D. 23 Września 1827 r., między godziną 9 a 10 zrana, gdy powiększej części mieszkańcy wsi *Estow* zajęci by-

W 1845 r. w lipcu w Warszawie na odbywającej się wystawie swoje prace wystawiło: trzech rzeźbiarzy, pięciu litografów sześćdziesięciu pięciu malarzy, wśród których było sześć kobiet malarek-amatorek. Osiemnastu malarzy przedstawiło kopie prac znanych twórców i tylko dwóch autorów – miniatury. Róża Parczewska przedstawiła dwie prace: według *Pompeo Batoni* „Uwolnienie św. Piotra z okowów przez Anioła” i kopię z czarnego sztychu *Rembranta* „Chrystus z apostołami po Zmartwychwstaniu” oraz sześć miniatur: jedną według *Rafaela* „Święta Familia” i pięć według *Jeana Petitota* „Ludwig XIV”,

„Ludwig Burgundzki“, faforytka Ludwiga XIV „Louise de La Vallière“, „Pani la Rochefoucauld“, malarz „Anthony van Dyck“ (1599-1641).

Za pionierkę w malowaniu miniatur uważana jest Rosalba Carriera (1673-1757), która około 1700 r. zaczęła malować na tabliczkach z kości słoniowej. Ta technika malowania była tańszą w porównaniu z malowaniem farbami olejnymi. Miniatury malowano na tabliczkach grubości 0,3-1 mm (większe do 2-3 mm), wzdłuż resztek kości słoniowej, wypolerowanych i wybielonych na słońcu. Na tabliczce kładziono złotego koloru folię, która wzmacniała intensywność kolorów, a twarzy i rąkom dodawała ciepły ton. Malowanie akwarelą na kości słoniowej – to skomplikowany proces, ponieważ akwarela słabo przywiera, dlatego malowano bardzo cienutkim pędzelkiem, kształt modelowano drobno obrysowując i stawiając kropeczki. Koniec XVIII w. i początek XIX w. był czasem złotego wieku miniatur portretowych: malowali je prawie wszyscy najsłynniejsi portreciści, było to bardzo modne, miniatura była odbierana jako wyraz uczuć.

1730

MOWY POGRZEBOWE

0027-27460

po ś. p.

RÓŻY PARCZEWSKIĘJ.

[Parczeni Alexander
i
Morawski Jan Chwałczy



BIBLIOTEKA
UNIWERSYTETU
WILNIJSKIEGO

DUBLET

WILNO.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

—
1854.



Aleksander Parczewski, fot. Gintas Kavoliūnas, 2017 r.

Pod koniec XIX w. pisarz, Frydrych Schulz (1762–1792) odwiedzający Litwę i Polskę napisał:

W bardziej znanych domach wszyscy sobie i swoim bliskim zamawiają miniatury. W społeczeństwie było modnym noszenie miniaturowych portretów przy sercu, ponieważ nie zawsze można było to serce otworzyć komuś i co jest w sercu

pokazać, dlatego i noszono obraz przyjaciela albo sławnych ludzi, a nawet współczesnego króla.

Aleksander Parczewski opisał osiem miniatur, które otrzymał w spadku po siostrze, malowanych akwarelą na słoniowej kości: „Jezus błogosławi dzieci” (według Johanna Fryderyka Owerbeka), „Matki swojej” (według Jeana Petitota) i wspomnianych sześć, wystawianych na wystawie w 1845 r. w Warszawie.

W swoim dzienniku Konstanty Tyszkiewicz, podróżując po Wilii wspomina, że

Miniatury pędzla tej artystki znane są nie tylko na Litwie wśród rodzin prywatnych, a jej przyjaznych, jakim ta artystka ze swoich robót dary pamiątkowe czyniła.

Malarka malowała w tamtych czasach popularne miniaturowe kopie, które wykonywała bardzo skrupulatnie, doskonale odzwierciedlając oryginał, dlatego jej prace były popularne i rozpowszechniały się na dworach litewskich.

Wersja bez przypisów i bibliografii. W razie zainteresowania pełną wersją proszę kontaktować się z redakcją.

*

© Jolanta Kietkutė, 2021, Muzeum w Kretyndze

ISBN 978-609-475-746-4

Część 2:

Róża Parczewska – zapomniana malarka z Wileńszczyzny.
Część 2.

Zobacz też:

Nie ma nic wiecznego na tej ziemi

Tak kocham
z wiatrem chodzić
za rękę



Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz

Agnieszka Kuchnia - Wołosiewicz (*Wielka Brytania*) – polonistka, redaktor tekstów, pedagog specjalny, kulturoznawca. Absolwentka studiów magisterskich Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN oraz studiów podyplomowych m. in. Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przez lata, jako wykładowca i instruktor, związana była (obok szkół) z wieloma placówkami edukacyjnymi i ośrodkami kultury w Krakowie. Autorka książek: *Jestem pod jego skrzydłami*, *AGATa. Sekrety Pierwszej Damy*, *Beata Szydło – zerwana umowa?*, *Nasze prywatne bohaterki* –

jesteś jedną z nich, a także redaktor pozycji: *(Nie)wyśpiewane piosenki*. Stworzyła też cykl wywiadów dotyczących działalności artystycznej w Sieci podczas pandemii Covid-19, które są publikowane na portalach internetowych w Polsce i za granicą. Redaktor portalu *Kultura na co dzień* oraz półrocznika *Poeticus*. Inicjatorka wydarzeń polonijnych w Wielkiej Brytanii. Jakiś czas temu rozpoczęła przygodę z poezją. Jej utwory ukazały się w antologiach zbiorowych kilku wydawnictw. Jest laureatką Częstochowskiego Przeglądu Poetyckiego „Zapałki 2021” oraz kilku internetowych konkursów poetyckich.

Gdzieś nad Tamizy nurtem

*

A... niebo nad Londynem

i dachem Parlamentu

w turkusie lazurowym

dodaje ornamentu.

*

To miasto, co przeraża
(zachwyca jednocześnie),

tradycji jest kolebką

- wszystkiego „przed” i „wcześniej”.

*

Choć Pałac Kryształowy

nie głosi już historii

niezmiennie jest symbolem

modernistycznej glorii.

*

Słońce złapane w szkiełko,

odbicie dwupłatówca

gdzieś nad Tamizy nurtem

– z mostu spogląda owca*.

(*Obowiązujące w Londynie po dziś dzień prawo mówiące, że każdy obywatel może przeprowadzić stado owiec przez most London Bridge bez płacenia myta; tradycja jest kultywowana.)

*

Kraków zakochanych

*

Zaczarowanego miasta idę ulicami,

Mijam kałuże, stukam obcasami.

Ktoś na mnie czeka na Rynku płycie,

Trzepoce serce, płynę w zachwycie.

Tam... pod skarbonką miłości czary

I do szaleństwa zakochane pary.

Patrzą sobie w oczy, chwytają za ręce...

Jak w piosence, jak w piosence!

Teraz tańczą walca na ulic parkiecie.

Co o nich wiecie, co o nich wiecie?

Jeśli ktoś z Was zakochał się w Krakowie,

To powie, to powie, to powie...

Że choć „nienajlepsze tu powietrze”

Uczucia tańczą, wirują na wietrze...

*

Kradzione kasztany

*

Gdy rzęsy nocy zakryją... dnia powieki

i niebo gwiazdziste ubierze firany,

Morfeusz bez pokrycia wystawi czeka
na sen, co w teatrze życia niezagrany...

*

Pod poduszką chowamy marzenia skryte
(i czasem też z parku kradzione kasztany),
a wszystkie z nich na miarę wiary uszyte...
A każde z nich ma Twoje imię, kochany!

*

W pajęczej sieci ze słów utkanej
albo gotyckim świata sklepieniu,
w tej myśli ciemnej, myśli tak strasznej
– co jeszcze jest, a co już w zapomnieniu...

*

Skrzydlaty demon, bożek miłości

żąda ofiary, ołtarz szykuje...

Czy jeszcze można uciec od tego,

odrzuć słodycz, którą się truję?!

*

Urwisty klif... tak blisko nieba...

*

Tak kocham z wiatrem chodzić za rękę,

tak kocham z wiatrem nucić piosenkę,

tak kocham czytać słowo po słowie

i czasem czekać, co mi odpowie,

kiedy zapytam o inspirację,
kiedy zapytam, czy miewam rację,
że gdzieś między wersów linijkami
jest i o tym, żeśmy kochankami
– takimi trochę jak u Leśmiana,
którym ta miłość, życia odmiana,
bywa nieszczęściem i szczęściem właśnie!!!
Niechaj trwa zatem, póki nie zgaśnie...

Wiersze w antologiach zbiorowych



Spieszmy się kochać bliskich. Antologia poetów współczesnych
Agnieszka Kuchnia - Wołosiewicz



Czarodzieje pióra. Antologia poetycka
Agnieszka Kuchnia - Wołosiewicz



Wiersze sercem pisane
Agnieszka Kuchnia - Wołosiewicz



Kawiarenka Poetycka 5
Agnieszka Kuchnia - Wołosiewicz

Zobacz też:

Marian Lichtman – wieczny “Trubadur”

Piotr Cajdler – muzyk z Luton w Wielkiej Brytanii. Polscy artyści podczas pandemii.

„Piosenki na koniec tygodnia” – projekt muzyczny Remiego Juśkiewicza z Londynu

Spotkania z poezją – projekt literacki Doroty Górczyńskiej-
Bacik z Dunstable, UK

Serce Paderewskiego



Ignacy Jan Paderewski przemawia do tłumów, fot. ze zbiorów Culver Pictures, Inc, arch. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka

Ignacy Jan Paderewski zmarł 29 czerwca 1941 r. w Nowym Jorku. Właśnie minęła 80-ta rocznica jego śmierci.

Danuta Piątkowska *(Nowy Jork)*

Cieszyłem się swoim powodzeniem. (...) Wiedziałem też, że już pokochałem Amerykę.

*Ignacy J. Paderewski, „Pamiętniki”, spisała Mary Lawton,
Kraków 1967 r.*

*

Po raz ostatni Ignacy Jan Paderewski przyjechał do Ameryki 6 listopada 1940 r. Zatrzymał się, jak zwykle, w hotelu Gotham (przy 5 Alei i 55 Ulicy; dzisiaj nie istnieje), jednak kilka tygodni później przeniósł się do tańszego Buckingham przy 6 Alei i 57 Ulicy. Brakowało pieniędzy.

Pomimo wieku Ignacy Paderewski był bardzo aktywny. Starał się przekonać Amerykanów, by pośpieszyli z wsparciem dla Brytyjczyków. Radiowa sieć Columbia przekazała ten apel 8 grudnia. W trakcie audyencji u prezydenta Franklina D. Roosevelta prosił o interwencję w sprawie Polaków we Francji pod rządami Vichy. Już w listopadzie polonijna prasa weterańska opublikowała odezwę Paderewskiego Do Wychodźstwa, w której przedstawiał powody swego przyjazdu i nawoływał do ofiarnej pomocy dla Polski.

Uporczywe wysiłki propagandowe i dyplomatyczne przynosiły niewspółmiernie mizerne efekty. W Palm Beach na Florydzie, dokąd Ignacy J. Paderewski wyjechał w styczniu 1941 r., uciekając przed przykrą nowojorską zimą, spotkał się z gen. Władysławem Sikorskim i Stanisławem Mikołajczykiem. Spędzili

razem święta wielkanocne, dyskutując nad sposobami uzyskania dla Polski większej pomocy od Ameryki. Sytuacja polityczna komplikowała się jednak. Możliwości sterowania jej rozwojem były mniej niż nikłe w porównaniu do okresu I wojny światowej, kiedy autorytet Paderewskiego sprawił, że dla sprawy polskiej udało mu się pozyskać szereg wpływowych osobistości, wśród nich doradcę prezydenta, płk. Edwarda House'a, a także prezydenta Thomasa W. Wilsona.

Autorytet z tamtych lat i legenda wielkiego wirtuoza nie wystarczały, by sterować zawiłymi meandrami polityki lat 40.

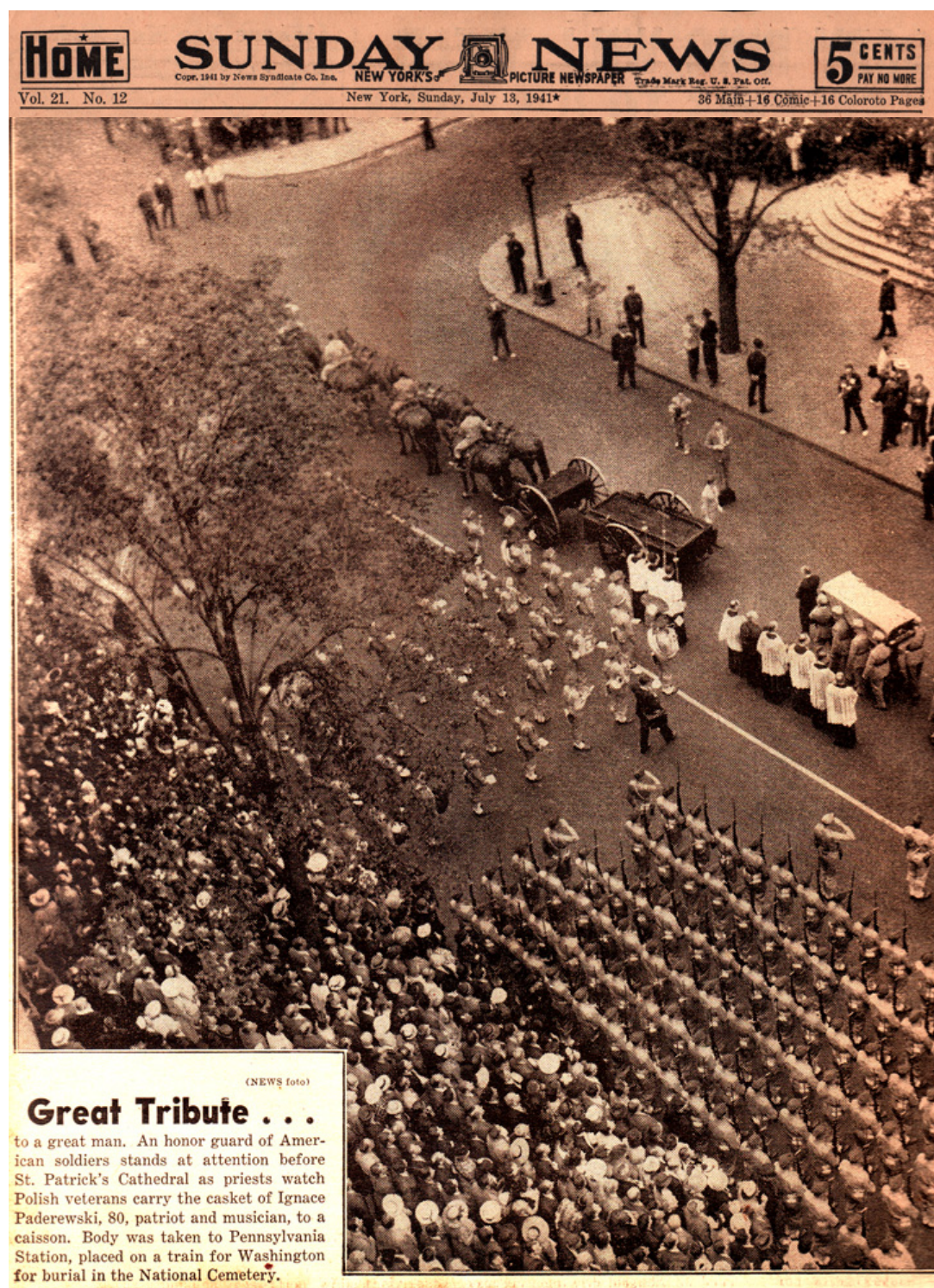
W maju 1941 r. Ignacy J. Paderewski powrócił do Nowego Jorku. Ciągłe czynny wyraźnie tracił jednak siły. Jego siostra Antonina Wilkońska, zaprzyjaźnieni Sylwin i Aniela Strakaczowie odradzali mu wyjazd do Oak Ridge, NJ, gdzie 22 czerwca miał spotkać się z „błękitnymi weteranami”. Czerwiec owego roku był bardzo upalny. Nieprzyjazne, spowite gorącem i wilgocią miasto zabierało resztki energii starego człowieka. Tymczasem dzień wcześniej Niemcy uderzyli na Związek Radziecki. Całą noc Paderewski w towarzystwie Strakacza, wtedy jego sekretarza i konsula polskiego w Nowym Jorku, słuchał komunikatów radiowych. Następnego dnia, w niedzielę pojechał do Oak Ridge. Wygłosił długą, płomienną mowę.

Świadkiem pamiętnego, nasyconego patriotyzmem, spotkania

Paderewskiego z Polonią na polance Zjednoczenia Polsko Narodowego w Oak Ridge był Joseph C. Radzik, policjant polskiego pochodzenia w nowojorskiej policji (NYPD – New York Police Department), wówczas pełniący służbę ochrony Paderewskiego. W liście skierowanym do o. Lucjusza Tyrasińskiego 29 czerwca 1986 r., dniu dedykacji urny z sercem pianisty w Amerykańskiej Częstochowie, wspominał tamto wydarzenie jako jedno z największych w jego życiu. – *To know him, or to know about him, was to love him. As an American of Polish descent he was a great inspiration to me with regard to my Polish heritage* – refleksyjnie konstatował Joseph C. Radzik. Stary Mistrz wzruszał polskie serca drżące w zamerykanizowanych generacjach dawnych imigrantów. Te pokolenia utożsamiały się, respektując swoje dziedzictwo, z Ameryką, ale „błękitni weterani” należeli do przeszłości. W zmienionej konstelacji politycznej lat 40. nie mogli być głównymi bohaterami.

Spiekota i emocje towarzyszące spotkaniu na polance w Oak Ridge, zimny napój wypity dla ochłodzenia się, spowodowały katastrofalne następstwa. Rozwinęło się zapalenie płuc. Tydzień trwała nierówna walka. Ignacy Jan Paderewski zmarł w kraju, który pokochał odwzajemnioną miłością, w swoim pokoju hotelowym o godzinie 11:00 rano w niedzielę 29 czerwca 1941 r. Pochowany został z honorami wojskowymi, za zgodą prezydenta Franklina D. Roosevelta, na amerykańskim Cmentarzu

Narodowym w Arlington. Tymczasowa mogiła znajdowała się nieopodal Mausoleum Grobu Nieznanego Żołnierza.



Pierwsza strona nowojorskiej gazety „Sunday News” z 13 lipca 1941 r.. Pogrzeb Ignacego Jana Paderewskiego. Kondukt

żałobyńy wychodzi z Katedry Św. Patryka, arch. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka

Jeszcze w 1986 r. podczas zwiedzania nekropolii, odwiedziłam grób polskiego pianisty. Wtedy ciągle nie było wolnej Polski i wobec tego nie można było myśleć o zorganizowaniu Jego powrotu do Ojczyzny, gdzie chciał spocząć. Nastąpiło to dopiero w 1992 roku. Dokładnie w 51 rocznicę śmierci artysty, na pokładzie amerykańskiego samolotu wojskowego, szczątki I. J. Paderewskiego przewieziono do Polski. Do 4 lipca trwały uroczystości pogrzebowe, najpierw na Zamku Królewskim w Warszawie, potem w Poznaniu i ponownie w stolicy, w kościele św. Krzyża, skąd w dniu amerykańskiego święta narodowego niepodległości (Independence Day), wyruszyła procesja do katedry św. Jana. Tam, po mszy żałobnej z udziałem prezydentów – George’a Busha i Lecha Wałęsy, Paderewski pochowany został w krypcie katedry. Spoczął obok Henryka Sienkiewicza.

Długo nikt nic nie wiedział o sercu. Nawet o tym, że oddzielono je od ciała. Zupełnie przypadkowego odkrycia dokonał Conrad J. Wycka podczas zwiedzania, wraz ze swoim szwagrem Henrykiem Archackim, nowojorskiego cmentarza Cypress Hill (Cyprysowe Wzgórze). Zarówno groby nekropolii, jak i zbudowane w 1926 r. mauzoleum stały się celem ich wycieczki w dniu amerykańskiego święta pamięci narodowej (Memorial Day), przypadającego zawsze w ostatni poniedziałek maja i zwyczajowo rozpoczynającego letni sezon. Był 1959 rok. Fascynacja obiektem

wiodła odkrywcę, co miało się wkrótce okazać, w coraz dalsze korytarze. W niszy numer 25 bocznej nawy, oznaczonej literą „G”, widniała mała marmurowa płyta z nazwiskiem; Ignacy Jan Paderewski, oraz rokiem urodzin i śmierci: 1860 -1941.

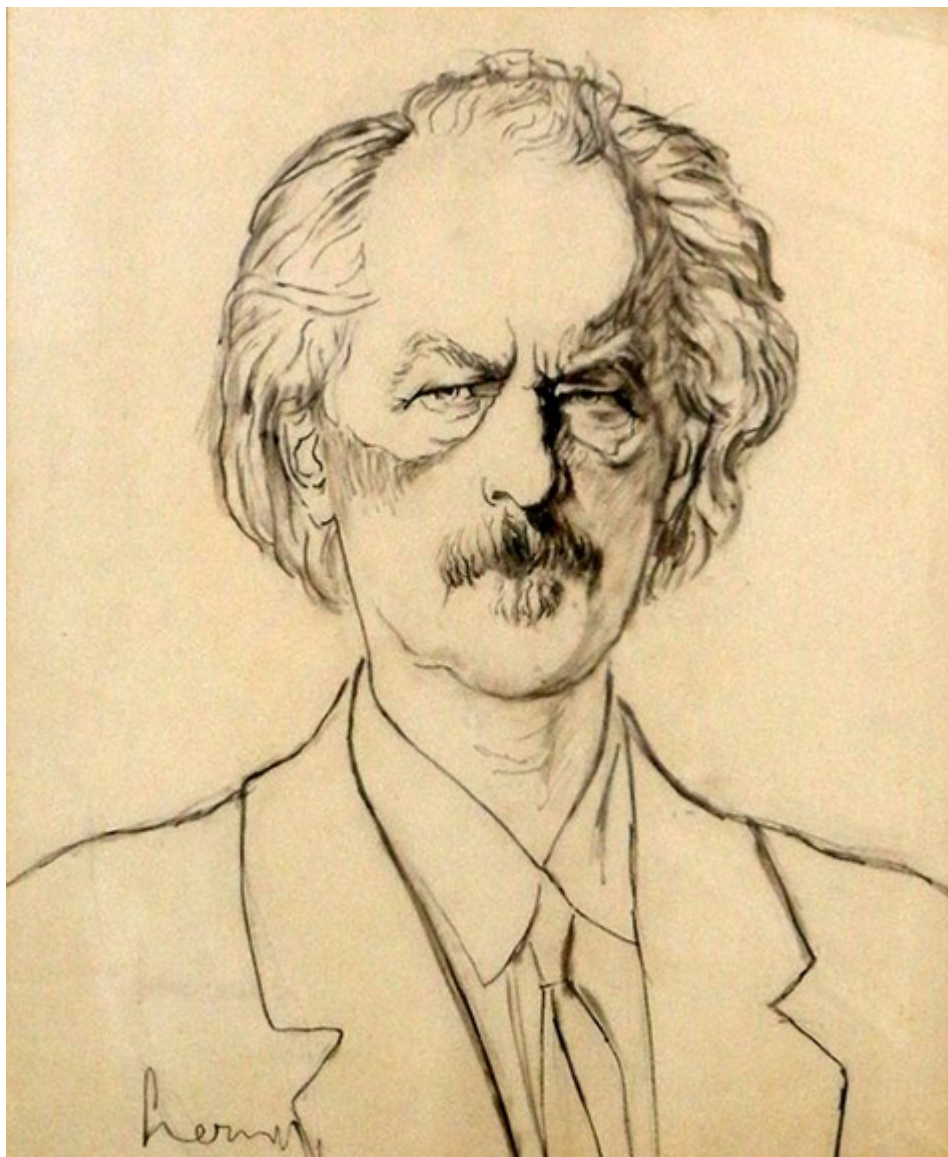
Szczęśliwy zbieg okoliczności. Sprawę wziął w swoje ręce Henryk Archacki, wydawca, dziennikarz, artysta grafik, wybitny działacz i historyk Polonii, gorący miłośnik polskości. Zanim nadał jej szerszy rozgłos, zweryfikował odkrycie i ustalił kilka faktów niezwyklej historii.

Tuż przed śmiercią Ignacy J. Paderewski ustnie przekazał siostrze, Antoninie Paderewskiej Wilkońskiej, towarzyszącej bratu do ostatnich chwil życia, swą wolę, by pochowano go w wolnej Polsce, a jego serce pozostawiono w Ameryce. Pogrzebem mistrza Paderewskiego zajął się Jan Smoleński, właściciel renomowanego domu pogrzebowego w Greenpoincie, przy 1044 Manhattan Avenue, ale także wiceprezes (od 1929 r.), a następnie prezes (1942-1953) Zjednoczenia Polsko Narodowego, przez szesnaście lat również poseł w izbie niższej stanowego parlamentu w Albany, NY, człowiek zamożny i wpływowy. We wspomnieniach nadmienił:

Do najważniejszych uroczystości, które organizowałem, należał manifestacyjny pogrzeb w Nowym Jorku, wraz z przewiezieniem zwłok do Waszyngtonu, ś. p. Ignacego

Paderewskiego.

Jan Smoleński, zgodnie z przekazaną mu przez A. Wilkońską wolą jej brata, usunął serce zmarłego, zabalsamował je i czekał na dalsze dyspozycje. Te nie nadchodziły. Cztery miesiące bowiem po odejściu brata, 6 listopada 1941 r. zmarła Antonina Wilkońska. Urna z sercem Paderewskiego nadal stała w domu pogrzebowym Smoleńskiego. Czas uciekał. Rósł niepokój, co zrobić z tym sercem? Jan Smoleński podjął ostatecznie decyzję umieszczenia go w mauzoleum cmentarza Cypress Hill. Dokument nr 222146, udostępniony Henrykowi Archackiemu przez opiekuna mauzoleum Louisa Worthingtona, zawierał wszystkie fakty związane ze zdeponowaniem tam serca Paderewskiego 21 grudnia 1945 r., łącznie z pozwoleniem nr 1528 na tranzyt z domu pogrzebowego, opatrzony datą 18 grudnia 1945 r. Koszt wyniósł 25 dolarów. Jan Smoleński nie nagłośnił sprawy, a po jego śmierci 31 maja 1953 r. nikt nie znał miejsca pochowania serca wielkiego pianisty, aż do przypadkowego odkrycia sześć lat później.



Portret Ignacego Paderewskiego autorstwa Zbigniewa Czernańskiego

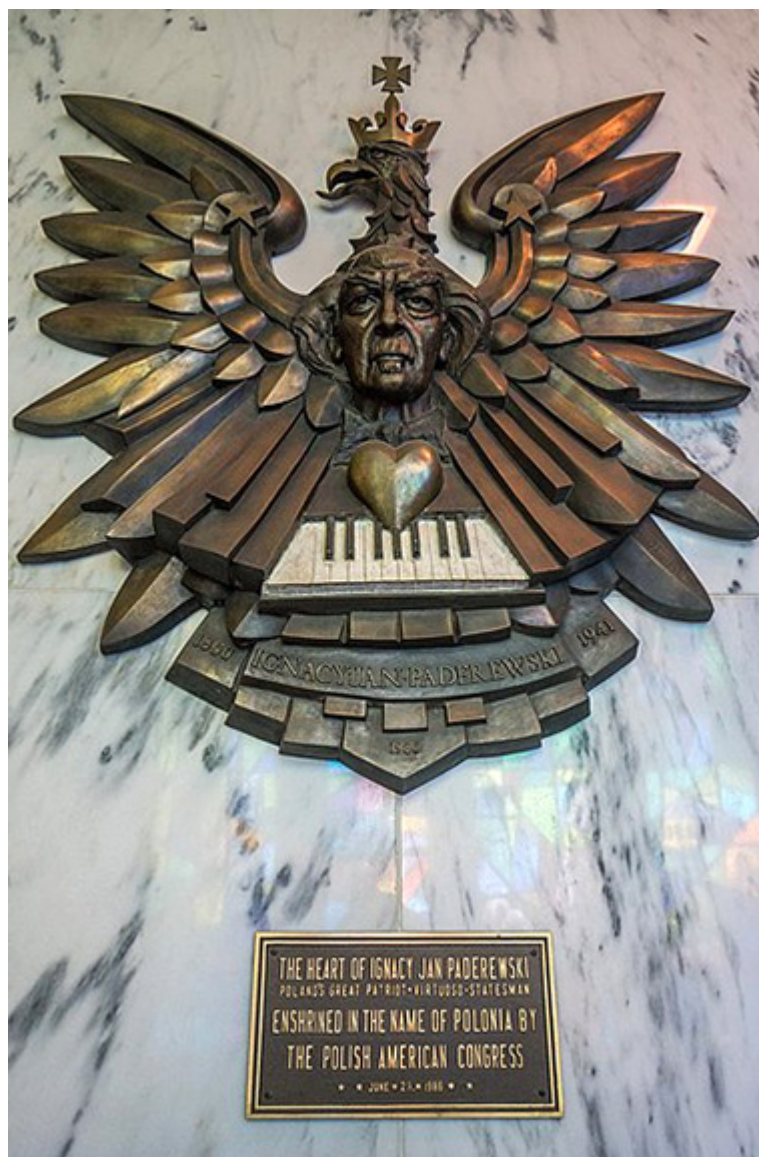
Mała nisza w mauzoleum na Cyprysowym Wzgórzu była jeszcze długi czas miejscem spoczynku serca Paderewskiego. Henryk Archacki daremnie poszukiwał innego, godnego i emocjonalnie bliższego Polonii.

Kongres Polonii Amerykańskiej, poinformowany o wszystkim w 1983 r. (choć pierwszy raz w 1966 r., ale wówczas nie podjął żadnych kroków, podobnie jak i nowojorska Fundacja

Kościuszkowska), dopiero trzy lata później powołał Komitet Serca Paderewskiego, którego przewodniczącym mianował Henryka Archackiego. Mijała właśnie kolejna rocznica urodzin pianisty. Najlepszym miejscem dla serca jawiła się Amerykańska Częstochowa w Doylestown, PA. Entuzjazm Archackiego dzielali inni członkowie komitetu. Otrzymali pełną aprobatę o. Lucjusza Tyrasińskiego, paulina, który w korespondencji z Archackim napisał:

Narodowe Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej jest zaszczycone i szczęśliwe, że może przyjąć serce Paderewskiego.

Amerykańska Częstochowa była gotowa do tego aktu. A on pojawiał się w najlepszym czasie. Niemal wyreżyserowanym. Po latach niemocy sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej rozkwitało. Nabierało głębokiego charakteru duchowego centrum Polonii, dla której zawsze było serce wielkiego Polaka. I teraz do niej wracało. Mieściło się w dłoniach zakonnika. Lekkie, skurczone, z wyraźnie zarysowaną siatką wyschniętych, opasujących je naczyń krwionośnych. Przykuło uwagę skupionych wokół niego osób. Emocje zdominowało wzruszenie. Odnaleziona urna z sercem Ignacego Jana Paderewskiego naprawdę je zawierała.



Serce Ignacego Jana Paderewskiego – Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej (Doylestown, PA), rzeźba Andrzeja Pityńskiego, fot. wikimedia commons

W sobotę, 21 czerwca 1986 r. urna została przywieziona do *Johnson Atelier Technical Institute of Sculpture* w Mercerville, NJ, do pracowni rzeźbiarza Andrzeja Pityńskiego. Tam, siedmioosobowa komisja, którą tworzyli: Henryk Archacki, przewodniczący Komitetu Serca Paderewskiego, pułkownik Anthony K. Podbielski, wiceprzewodniczący, o. Lucjusz Tyrasiński, dyrektor i kustosz sanktuarium maryjnego w

Doylestown, Andrzej Pityński, Stanisława Peczyńska Dziekanowski, Jerzy Koss i Malina Stadnik, dziennikarka „Nowego Dziennika“, zdecydowała, że trzeba rozwinąć grube zwoje bandaża z gazy, by przekonać się, co kryją. Nie było wątpliwości. Zabalsamowane, kruche serce wielkiego Polaka dokonywało ostatniego etapu swej niezwykłej wędrówki. Ponownie otulone świeżą gazą, poświęcone przez o. Lucjusza, wraz z dokumentem świadków wydarzenia, umieszczono i zalutowano w urnie-płaskorzeźbie wykonanej przez Andrzeja Pityńskiego. Dzieło godne Mistrza. Brązowy odlew polskiego orła w koronie z rozpiętymi skrzydłami, oparty na kompozycji koła o średnicy 120 cm i grubości 22,5 cm, przedstawia w centralnym punkcie ekspresyjną twarz Paderewskiego skłonioną nad położonym sercem, spoczywającym na fragmencie klawiatury fortepianu. Tego samego dnia przewieziono tę urnę do Amerykańskiej Częstochowy i przytwierdzono do marmurowej ściany wschodniej części westibulu świątyni. Uroczystość odsłonięcia i dedykacji odbyła się 29 czerwca 1986 r., w czterdziestą piątą rocznicę śmierci Paderewskiego.

Obok wejścia do hotelu Buckingham na zachodniej stronie Manhattanu przy 6 Alei i 57 Ulicy wisi okazała, wykonana w brązie tablica, informująca, że to miejsce było ostatnią rezydencją Ignacego Jana Paderewskiego (1860-1941), premiera rządu polskiego, wielkiego pianisty, kompozytora i przyjaciela sześciu amerykańskich prezydentów, którego patriotyczne

wysiłki spowodowały odzyskanie przez Polskę niepodległości w końcu pierwszej wojny światowej. Paderewski debiutował w Carnegie Hall w czasie pierwszego turnee po Stanach Zjednoczonych w 1891 r. – czytamy dalszą część tablicy – i do śmierci w istotny sposób uczestniczył w życiu kulturalnym Nowego Jorku.

Artykuł ukazał się na stronie Instytutu im. J. Piłsudskiego w Nowym Jorku: <https://www.pilsudski.org/>



Zobacz też:

Żywot Paderewskiego

Andrzej Pityński – twórca niezłomny

Mieliśmy razem napisać powieść



Marek Hłasko i Krzysztof Komeda, lata 60., fpt. Marek Nizich-Niziński, wikimedia commons

Z Leszkiem Szymańskim, legendarnym założycielem ruchu literackiego „Współczesność”, o pobycie w Los Angeles w 1966 r. i Marku Hłasce rozmawia Danuta Błaszak (*Floryda*).

Czy możesz opowiedzieć o tym, jak spotkałeś Marka Hłaskę w Los Angeles? Wiem, że pracowaliście razem nad powieścią. Ten okres to nadal jakaś luka w powszechnie znanych życiorysach Marka. W internecie znalazłam informacje o zdemolowanych barach.

O zdemolowanych barach w Los Angeles nigdy nie słyszałem.

Marka znałem z „Po prostu” i wyczekiwań u Wilhelma Macha – naczelnego Kultury. Przyjaźnił się z Romanem Śliwonikiem. Nie był założycielem „Współczesności”. Wtedy w roku 1956 dystansował się od nas, chociaż podpisywał petycje.

W latach 1958 – 1966 nie mieliśmy kontaktu na emigracji. Marek był protegowanym Giedroycia, a ja nie. Prócz tego, a to chyba najważniejsze, ja byłem w Australii, a on w Paryżu i Izraelu. Spotkaliśmy się ponownie w Los Angeles w ostatnim roku jego życia. Nie wiedziałem wcześniej o planach Romana Polańskiego ściągnięcia Marka Hłaski do Los Angeles w roku 1966. To była dla mnie niespodzianka.

Spotkanie i wspólny pobyt w Los Angeles Ciebie, legendarnego założyciela „Współczesności”, z Markiem

Hłaską... to brzmi niemal niewiarygodnie. Pisanie wspólnej powieści - to działa na wyobraźnię. Plany zostały przerwane przez śmierć Marka. Jak się spotkaliście?

O tym, że Romek Polański ściągnął Marka do Los Angeles dowiedziałem się właśnie od Marka. Dokładnie nie pamiętam kiedy i jak, ale Marek pokłócił się z Romkiem, któremu miał pisać scenariusz. Zaraz po moim przyjeździe do Los Angeles, Danusia Zawadzka poinformowała mnie, że Marek tam mieszka i dała jego adres na Wilshire.

Wilshire zaczyna się w samym sercu miasta i idzie w prostej linii, przez Santa Monica, do Pacyfiku. Jest to główna arteria Los Angeles długa na kilkanaście mil. Wzdłuż niej, wtedy były głównie banki, hotele, rozmaite oficjalne budynki i luksusowe kondominia. Adres na tak ważnej i drogiej ulicy zadziwił mnie, ale wiedząc, że Marek jest pisarzem o międzynarodowej sławie myślałem, że odpowiada to jego kieszeni. Jak się później okazało, jego kieszeń była jeszcze bardziej dziurawa niż moja.

Po przeszło godzinnej jeździe autobusem dotarłem wreszcie w pobliże jego numeru i okazało się, że to był jeden z bardzo już nielicznych starych budynków, prawie rudera. Marka już tam nie było. Nowi i gościnni lokatorzy, jacyś studenci – hipisi z UCLA, Westwood, znali Marka, ale nie jego adres, obecnie gdzieś w Hollywood.

I jak go znalazles?

Wcale nie w Hollywood. Mieszkałem w starym czynszowym domu w pobliżu śródmieścia i centralnej miejskiej biblioteki i Domu Polskiego założonego gdzieś na początku dwudziestego stulecia przez polskich socjalistów. Pozostały po nich stempelki na książkach bibliotecznych. Dziś funkcje tego domu sprawuje polski Kościół na Adams, do którego powstania przyczyniła się hojność pani Apolonii Chałupiec, znanej jako Pola Negri.

Właścicielem „mojego” domu był niejaki pan Świątek, milioner, ale skąpiec który gnieździł się w jednym pokoiku wraz siostrą, jak mnie zapewniał nieoceniony gawędziarz (i plotkarz) Bohdan Brym. Budynek był bez windy i gdy wreszcie wspiałem się na ostatnie piętro, któż siedział na schodach pod drzwiami mojego apartamentu? – Marek Hłasko! Marek nie zmienił się, raczej odmłodził i wyglądał wręcz chłopięco, zwłaszcza z krótko ostrzyżonymi włosami. Ubrany po sportowemu. Padliśmy sobie w objęcia i zaczęliśmy się sobie spowiadać, z tego co się z nami działo w ciągu ostatnich lat. Ale zaczęliśmy opowieści od ówczesnego ranka. Od tego spotkania zaczęła się nasza przyjaźń i współpraca literacka.

Marek opowiadał, że wtedy obudził go tubalny głos Leonidasa Ossetyńskiego, który stał pod oknem jego mieszkania na Pointsettia i wykrzykiwał na całe Los Angeles, że Szymański

przyjechał do tego słynnego miasta Aniołów. Marek wsiadł w swój samochód i wkrótce już całował klamkę drzwi mego apartamentu. Postanowił poczekać, no i doczekał się.

Marek był bez pracy i pieniędzy. Zaprosił go do Los Angeles Roman Polański. Chciał od Marka scenariusz. Chyba zapłacił za przyjazd i pokrył koszt utrzymania przez pierwsze dni. Ale rychło się poróżnili i ze współpracy nic nie wyszło. Odniosłem wrażenie, że Marek jest poróżniony z wieloma osobami. Miał też jakieś zatargi z Sakowskim z Londynu. Wyglądało na to, że miał rozmaite pretensje do Romana, ale nie wypytywałem się o szczegóły. W konkluzji Marek stwierdził, że gdyby nie te ich nieporozumienia, to pewnie byłby zamordowany wraz z żoną Polańskiego i Wojtkiem Frykowskim. Pamiętam, że określił Sharon Tate jako wysoką „gidyję”.

Marek nic nie mówił dlaczego Roman Polański wycofał się ze swojego zamierzenia nakręcenia filmu według jego scenariusza. Nie wiem czy ten scenariusz został napisany.

W owym okresie od „oficjalnej” Polonii Marek trzymał się raczej na uboczu. Zasadniczo „opiekował” się nim Leonidas Dudincew Ossetyński, aktor i poeta, dyrektor szkoły aktorskiej, gdzie uczył pupilków metodą Stanisławskiego i Grotowskiego. Miewał jakieś podrzędne role w rozmaitych filmach. Finansowo dawał sobie radę jako tako. To Leonidas wystarał się Markowi o mieszkanie

na Pointsettia. Bardzo obszerne, staromodne i na spokojnej ulicy w pobliżu Hollywood. Fizyczne zdrowie Marka było pod dozorem doktora Otto Lauterbacha, przyjaciela pisarzy, człowieka typu Mieczysława Grydzewskiego. Przez pewien okres Marek kolegował się z Henrykiem Grynbergiem.

Mój przyjazd trochę pomógł Markowi bo, ja dzięki doktorowi Michałowi Zawadzkiemu i jego żonie Danusi, miałem poprawne stosunki z „oficjalną” Polonią, zasadniczo tą wojenną. Leonidas, ekscentryk i aktor to była „bohema”! Ja – ni pies ni wydra, podobnie jak w Polsce, nigdzie nie pasowałem. Dla „bohemy” byłem zbyt burżujski, dla burżujów zbyt cygański! W Polsce dla partyjniaków zbyt buntowniczy i niezależny, dla innych zbyt oportunistyczny i ugodowy.

Ale wracając do rzeczy. Markowi zaczął pomagać Szczepan Zimmer, autor książki z „Chałupy na Parnas” o Kasprowiczu. Zimmer był dyrektorem biblioteki szpitalnej, gdzie też wystarał się o pracę dla mnie. Pamiętam jak kiedyś u mnie siedzieli, na parapecie okna z Markiem, oświeceni promieniami zachodzącego słońca, tak jakby pozowali dla potomności.

Samopomoc oferowała Markowi pożyczkę. Danusia Zawadzka wystarała się mu o pracę u Wnurowskiego, nie pomnę imienia. Weterana i właściciela fabryczki w sienkiewiczowskim Anaheim. Marek zaczął się interesować Różą Piłsudską.

Jakie zajęcie znalazł sobie Marek Hłasko w Los Angeles?

Dziwiłem się, że Marek nie próbuje jakiejs pracy biurowej i ubiega się o pracę „helpera”, tj. niewykwalifikowanego robotnika. Na co on odpowiadał, że do pracy biurowej się nie nadaje.

W końcu Wnurowski, w Anaheim dał mu pracę w swej fabryce. Pamiętam, że chciał wziąć Marka do „offisu”, ale Marek odmówił. Więc przenosił blachy z jednego miejsca w drugie. Ciął sobie dłonie i dezynfekował czerwonym środkiem odkażającym, Te prawie ukrzyżowane ręce pisarza robiły straszliwe wrażenie. Symbol pisarstwa emigracyjnego. Na proste pytanie, dlaczego nie używa rękawic odpowiedział, że blacha się wyslizguje.

Jak spędzaliście czas?

Często wtedy jeździliśmy na plażę (Marek jak się wyrażał był „wodniakiem”) wraz z moją pierwszą małżonką Jadwigą (Marek twierdził, że jest to jedna z nielicznych osób, które nic złego o innych nie mówią. Uczył ją też jazdy samochodem) i Leonidasem, wtedy jeszcze nieżonatym. W związku z tym pamiętam, że któregoś upalnego dnia wyraziłem zdziwienie, że tylu mieszkańców naszej ulicy spędza czas piekąc się na chodnikach, zamiast pojechać nad ocean. Na co Marek odpowiedział, że większość z nich nie ma samochodów. Dojazd autobusem ze

śródmieścia jest kosztowny i długi. Prócz tego może się lepiej czuć w mieście, niż na łonie natury. Prawdy oczywiste, ale jakoś nie przyszły mi do głowy.



Leszek Szymbański

Leszek Szymbański – pisarz, dziennikarz, historyk, podróżnik, politolog, filozof, ważna postać wśród polskich pisarzy emigracyjnych. Jest autorem wielu dzieł beletrystycznych i *non-fiction*, głównie w języku angielskim, ma swoje miejsce w literaturach Polski, Australii i USA. Jest laureatem Nagrody im. Josepha Conrada przyznanej przez Miasto Literatów z Florydy. W Polsce znany jest w kręgach literackich jako legendarny założyciel „Współczesności”, pisma, które w 1956 r. było jedyną niezależną publikacją za żelazną kurtyną.

Zobacz też:

Z opowieści legendarnego założyciela ruchu literackiego „Współczesność” – Leszka Szymańskiego. Wspomnienie o Marku Hłasce.

Zakamarki pamięci – wspomnienie o Marku Hłasce

Leszek Szymanski: Wspomnienia bez mundurka .

Z opowieści

legendarnego
założyciela ruchu
literackiego
„Współczesność” –
Leszka
Szymańskiego.
Wspomnienie

o Marku Hłasce.

Danuta Błaszak (*Floryda*)

Przygotowuję drugie wydanie książki „Wywiady - spotkać „Współczesność”, uzupełnione i rozszerzone. Rozmawiam z Leszkiem Szymańskim, legendarnym założycielem „Współczesności”. Kilkakrotnie wracamy do Marka Hłaski, którego Leszek znał. Znali się jeszcze z Polski w latach pięćdziesiątych, a w roku 1966 spotkali się w Los Angeles, na krótko przed śmiercią Marka. Spędzali razem dużo czasu, miała powstać wspólna powieść... W tej, jednej z kilku, krótkich rozmów z Leszkiem, zapytałam o legendy dotyczące Marka. Jedną z legend zatytułował „gwizd lokomotywy”. Alkohol modny był w tych czasach chyba znacznie bardziej niż teraz, tutaj na pewno był czynnikiem inicjującym zabawne historyjki, dodającym śmiałości. Z dużą ciekawością słuchałam tych barwnych opowieści dotyczących dwóch sławnych, legendarnych pisarzy.



Słynna Venice Beach w Santa Monica, lata 20. XX w., fot.
wikimedia commons

Leszek Szymański (Warszawa)

Gwizd lokomotywy

Gwizd, o którym wiem w Los Angeles był potrójny. Raz Marek zagwizdał na bardzo dostojnym przyjęciu polonijnym, bo wszyscy, byli tak dystyngowani i wyfraczeni, że go szlag trafił i chciał zaszokować naszych nadętych dostojników. Nota, bene Marek zasadniczo był nieśmiały. Unikał zebrań i spotkań

autorskich, które mu proponowano. Choćby dobrze płatnych.

Ze mną kiedyś się założył, że wypije szklanę spirytusu i gwizdnie głośniej niż ja, po takim samym wyczynie. Działo się to w mym mieszkaniu w Downtown, Los Angeles., na Union Drive. Wtedy w śródmieściu, jeszcze nie wypiętrzonym i szklannym, gdzie normalni ludzie mogli znaleźć tanie mieszkania, spirytusu nie mogliśmy kupić, bo jest nielegalny w Kalifornii. Dostaliśmy jednak rum, chyba 90%. Marek wypił szklanę i gwizdnął niczym lokomotywa. Jak przyszła na mnie kolej szklanicę wychyliłem, świsnąłem cichutko i spadłem pod stół. Nie pamiętam co się dalej działo.

O Marku Hłasce i pałacu Gubernatora w Santa Monica.

Historyjkę tę pamiętam przez mgłę kilku już dziesiątków ubiegłych lat, no i oparów alkoholu. Więc nie ręczę za naukową ścisłość faktów. Po tym „caveat” przystępuję do opowieści.

A zaczęło się to u Marka Nizińskiego od celebracji z okazji objęcia przez niego zaszczytnej funkcji „menadżera”, luksusowego domu apartamentowego prawie, że na „Miracle Mile” (Cudownej Mili) w pobliżu, słynnego muzeum w La Brea, gdzie utopiły się, ale jednocześnie zakonserwowały w smole (dziegciu) niezliczone przedpotopowe zwierzęta, z których potężne mamuty można obserwować jadąc słynnym bularem

Wilshire.

Niziński wysoki i chudawy blondyn, poeta pisarz, „menadżerował” przed tym jakąś historyczną rudere w centrum Hollywood, gdzie kiedyś podobno mieszkała Black Dalila, Charles Chaplin, a nawet nasza rodaczka słynna Pola Negri z domu Apolonia Chałupiec Nastrój był beztroski. Trunki lały się płynnie, panował zwykły gwar. Gospodarz zaprosił naszą całą „ferajnę” to jest dość szczupłą polską cyganerię z Los Angeles.

Były zwykłe kłótnie na tematy polityczne i literackie. Jak powiadał Roman Śliwonik o czasach „Współczesności”, kłóciliśmy się o wszystko tylko nie o pieniądze! Patriotyczne mazurki i oberki, a w pewnym momencie Marek Hłasko poszedł solo w kozackie „prysiudy”. Od czasu do czasu wydawał przeraźliwy gwizd, warszawskiego żulika z Powiśla. Nie pamiętam ani imion, ani nazwisk wszystkich uczestników, ani ich żon i nie żon. Nie gwarantuję też, że nie pokręciłem nazwisk osób, które pamiętam. Tak na przykład majaczy mi się, że był z nami Jack Nicholson, pozostałość po czasach przyjaźni Marka z Romkiem Polańskim. Był także amerykański poeta Charles Bukowski zwany pospolicie „BarFly”. Ale wszystko było bardzo przyzwoicie i względnie cicho, nie licząc tych paru gwizdów lokomotywy, nawet nie o spóźnionej porze. Jednak odgłosy biesiady nie spodobały się któremuś z dostojnych lokatorów. No i podobno komuś zdarzył się wytrysk żołądkowy zwany pawiem w

wypełnionej windzie.

W pewnej chwili, gdy obudziłem się z chwilowej drzemki zobaczyłem kilku policjantów. Wyglądali groźnie z rewolwerami na pasach i pałkami w rękach. Ale byli grzeczni. Nie wiem, z jakiej racji zaczęli nas wypytywać o narodowość. Choć nie wyglądalismy na „undocumented immigrants”, a o terrorystach jeszcze się nie słyszało.

Marek Hłasko przedstawił się jako Izraelita, Niziński bodaj jako Szwed, Andrzej Krakowski jako „Native American”, Henryk Grynberg był mieszkańcem Kaukazu, a ja oczywiście Australian Aborigine. Jedynie Czesław Banasiewicz, znany grafik i prawie trzeźwy, przedstawił się z wrodzoną godnością jako Polak. Nicholson i Bukowski zniknęli, a może wtedy nie byli z nami. Policjanci kiwali głowami i pałkami, ale niegroźnie i poprosili o paszporty... bardzo uprzejmie. Widać ta zawodowa grzeczność zwiodła Marka Hłaskę, gdyż w pewnej chwili sięgnął do kabury jednego z przedstawicieli prawa. Nim się spostrzeżliśmy, mieliśmy kajdanki na rękach i znaleźliśmy się w karetce policyjnej, czyli w tak zwanej w Polsce „Czanej Marii”.

Zawieziono nas na komisariat w Santa Monica, który się mieścił w pięknym pałacyku, który wyglądał jak zrobiony z barwnych kafli i mieścił się w cudnym ogrodzie z fontanną, jakiegoś dostojnika z czasów hiszpańskich, czyli popularnie mówiąc w

Pałacu Gubernatora. Z jakiej racji nas tam zawieziono, nie wiem. Bliżej było do Hollywood, względnie do Rampart Division. A może miało to coś wspólnego z wpływami i znajomościami Jacka Nicholsona?

Marek zapadł w jakiś trans bo nie podnosił powiek, nawet gdy nas wyładowano z wozu. Tym razem mniej uprzejmie. W pewnej chwili otworzył oczy i krzyknął ze zdumieniem – *Wreszcie mamy uznanie! Do pałacu nas zawieziono!*

Wszystko skończyło się dobrze. Wkrótce nas zwolniono. Chyba w wyniku interwencji Stefana Pasternackiego, czy też doktora Otto Lauterbacha. Nie, Leonidasa Ossetyńskiego, bo ten był z nami. Pamiętam, że przedstawiał się policji jako rabin, gdyż grał taką rolę w jakimś filmie.

A najważniejsze, że Marek Niziński nie stracił posady. W domu mieszkało wielu, jako tako, znanych aktorów, artystów i tym podobnej eks-bohemy, obecnie dobrze zarabiającej, więc właściciel zawyrokował, że Nizinski i jego kompania pasuje do budynku, ale niech się taka heca nie powtórzy, bo „menadżer” ma być tym właśnie, który daje przykład dobrego zachowania.

*

Zobacz też:

Mieliśmy razem napisać powieść

Zakamarki pamięci – wspomnienie o Marku Hłasce

Leszek Szymanski: Wspomnienia bez mundurka .